

**Humboldt Aleksander**

**PODRÓŻ PO RZECE ORINOKO**

**PRZEDMOWA.**

Aleksander Humboldt, wielki podróżnik i odkrywca, urodził się w r. w Berlinie. Od wczesnej już młodości odznaczał się ogromną pracowitością w różnych polach nauki i położył niespożyte usługi. Już zaraz czasu pierwszej swej podróży przez Belgię, Holandję i z powrotem przez Paryż do Niemiec okazał, że pojmuje podróżowanie jako naukę badającą związek pomiędzy przejawami natury i obyczajami ludzi, każdego, danego kraju. Podróże w kraje podzwrotnikowe w czasach Humboldta wymagały niesłychanego wysiłku i badania natrafiły na różne przeszkody, które je powstrzymywały. Humboldt wyruszył do Ameryki południowej za zezwoleniem rządu hiszpańskiego, który miał tam swe posiadłości, na fregacie hiszpańskiej imieniem "Pizarro", i to razem z przyjacielem swym Francuzem Aimè Bonplandem, Podróż trwała lat pięć i przez cały czas służyło Humboldtowi doskonale zdrowie, którem się zresztą za pobytu w ojczyźnie wcale nie cieszył. Czuł on się tak dobrze w okolicach podzwrotnikowych, że za powrotem palił w piecach ile się dało, chcąc utrzymać tę

samą co tam ciepłotę. Spędzone na wilgotnym legowisku noce, nad brzegami Orinoka zostawiły mu pamiątkę w postaci reumatyzmu prawej ręki, tak że nie mógł pisać na stole tylko na kolanie, pochylony nisko przy pracy. Zwiedził wyspę Teneryffę, i wyszedł na szczyt Pika (Pic

de Teneriffa) wysokości metrów, poczem przepłynął Atlantyk chcąc zaraz jechać na Kubę i do Meksyku, ale musiał skutkiem febry panującej na okręcie wylądować w Kumanie. Pozostał tu przez półtora roku, badając Wenezuelę, góry pobrzeżne, pola zwane llanos i lasy nad Orinokiem. W wędrówkach swych zaszedł do przedziwnej groty, gdzie odkrył ptaka nocnego wielkości kury, żywiącego się owocami, potem do Karakas, gdzie wyszedł na niedostępny szczyt, zwiedził plantacje kakaowca i trzciny cukrowej urządzone przez krajowców, dalej gorące źródła pod Walencją, był w Kumanie świadkiem trzęsienia ziemi, odkrył drzewo t. zw. "krowie", dające mleko roślinne, oraz widział połów drętów, czyli napełnionych elektrycznością węgorzy. Potem, wraz ze swoim przyjacielem ruszył w słynną podróż po Orinoku, którą właśnie podajemy w przekładzie polskim czytelnikom.

ŚWIAT ZWIERZĘCY RZEKI APURE.

Dnia szesnastego lipca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego  
dziewiątego roku stanęliśmy o świcie nad zielonym, malowniczym  
wybrzeżem.

Widnokrąg od strony południowej zamykały góry Nowej Andaluzji,  
(czyli

Wenezueli), a były napół przysłonięte mgłą. Pośród grup palm  
kokosowych

widniało w dali miasto Kumana, z wyniosłym zamkiem swoim. O  
godzinie dziewiątej,

w czterdzieści jeden dni od wyjazdu z Korunny w Hiszpanji  
zarzuciliśmy w porcie

kotwicę. Chorzy na febrę wyszli z trudem na pokład, radując się  
widokiem lądu,

gdzie cierpienia ich miały wreszcie dobiec końca.

Dnia listopada rozpięliśmy żagle udając się wzdłuż wybrzeża do  
portu Guayra,

Dwa miesiące spędziliśmy w mieście głównym, Karakas, a marca  
dotarliśmy do

San Fernando nad Apure, gdzie się miała rozpocząć podróż nasza po  
Orinoku.

Wystaraliśmy się o bardzo szeroką pirogę, której załogę stanowił  
sternik (el

patron) i czterech Indjanie. W części tylnej zbudowano, w ciągu paru  
godzin,

chatkę pokrytą liśćmi. Była tak obszerna, że pomieściły się w niej stół  
i ławki.

Te ostatnie składały się z ram z drzewa brazyłowego, na których  
rozpięto skóry

wołowe i obito gwoźdźmi. Przytaczam ten szczegół, by pokazać jak  
nam dobrze było

na Apure w porównaniu do czasu spędzonego na Orinoku, w  
ciasnych, nędznych

kanoach. Zabraliśmy na pirogę żywności starczącej na miesiąc, oraz  
kilka

strzelb, używanych tu wszędzie, aż do katarakt. Dalej, ku

południowi panuje taka wilgoć, że misjonarze nie mogą się  
posługiwać bronią  
palną.

W Rio Apure żyje dużo ryb, krów morskich i żółwi szyldkretowych,  
których jaja są  
pożywne, ale zgoła niesmaczne, zaś nad brzegami widać  
nieprzeliczone stada  
ptactwa. Prócz zapasów, przyborów rybołówczych, łowieckich i broni  
zabraliśmy  
też kilka beczulek spirytusu, dla handlu zamiennego z Indjanami nad  
Orinokiem  
zamieszkałymi.

Ruszyliśmy z San Fernando dnia marca o czwartej popołudniu. Upał  
był wielki,  
termometr wskazywał w cieniu st. Celsjusza mimo  
południowowschodniego wiatru.

Wiatr ten nie dozwolił nam rozpiąć żagli. W całej podróży po Apure,  
Orinoku i

Rio Negro towarzyszył nam szwagier namiestnika prowincji Varinas,  
don Mikołaj

Sotto. Celem poznania dalekich okolic stanowiących dla  
Europejczyka ponętny

przedmiot badania, spędził wraz z nami siedemdziesiąt cztery dni w  
ciasnej,

rojącej się od moskitów kanoi. Był bardzo wykształcony, miły i  
wesoły, a to jego

usposobienie pozwoliło nam niejednokrotnie zapomnieć o  
uciążliwościach niezawsze

bezpiecznej podróży.

Przez cały ciąg jazdy z San Fernando do San Carlos, potem po Rio  
Negro i stamtąd

do Angostury zapisywałem dzień w dzień starannie, siedząc w kanoi  
lub też przy

ognisku obozowem, wszystko co mi się wydało godnem uwagi.

Zapiski te przerywały

często nawalne deszcze, albo uniemożliwiały roje moskitów, ale  
uzupełniałem je w

dni kilka potem. Zamieszczam tu ciekawe wyjątki z tego pamiętnika.

Dnia marca. Począwszy od Diamante wkroczyliśmy na terytorjum zamieszkałe wyłącznie przez tygrysy, krokodyle i świnie rzeczne. Na niebie rysowały

się stada ptaków, podobne czarnym chmurom, ciągle zmieniającym kształty. Na brzegach widniały krzaki, tworzące żywopłoty, jakby sztucznie przystrzyżone.

Wielkie czworonogi tej krainy, tygrysy, tapiry i świnie pekari powyłamywały w tych żywopłotach przerwy, któremi chodziły do wody. Ponieważ nic sobie nie

robiły z naszych kanoi, przeto przypatrywaliśmy się jak chodziły z wolna po

wybrzeżu i po chwili dopiero odchodziły przerwami w żywopłotach do lasu. Czasem

ukazywał się na brzegu jaguar, piękna pantera amerykańska, to znów hokko, o

czarnych piórach, z kitką na głowie. Co chwila spostrzegaliśmy zwierzęta

najrozmaitszych gatunków. — Es como in el paradiso! — mawiał nasz sternik —

znaczyło, że jest tu jak w raju. Sternik był to stary Indjanin z misji. W istocie przypominało to stan pierwotny świata, jego niewinność, szczęście, oraz

prastare obyczaje. Ale przy baczniejszej obserwacji spostrzegaliśmy, że

zwierzęta boją się wzajem siebie i unikają. Minał złoty wiek bezpowrotnie i

stworzenia tego amerykańskiego raju wiedziały, że rzadko mieszka społeczeństwem

łagodność i siła.

Na szerszych, piaszczystych wolnych od krzaków częściach wybrzeża legiwały

krokodyle, często po ośm i dziesięć. Jak kłody leżały, bez ruchu z otwartymi szeroko paszczami, nie okazując towarzyszom swym żadnej sympatii, co czynią zawsze zwierzęta gromadnie żyjące. Były tak liczne, że niemal ciągle mieliśmy kilka przed oczyma, mimo, że znajduwaliśmy się dopiero w górnym biegu rzeki. Tysiące ich spało zapewne w błocie sawanny. Około czwartej zatrzymaliśmy się, by zmierzyć martwego wyrzuconego na brzeg krokodyla. Miał tylko szesnaście stóp i ośm cali długości, drugi jednak znaleziony w parę

dni później przez Bonplanda mierzył dwadzieścia dwie stopy i cztery cale, Indjanie opowiadali, że w San Fernando porywają krokodyle kilku ludzi rocznie, zwłaszcza kobiety, czerpiące wodę z rzeki. Pewną dziewczynę z Uritucu porwał krokodyl. Nie tracąc przytomności wbiła mu ona palec w oko z taką siłą, że zwierzę jęknął z bólu i puścił łup. Dziewczyna zdołała dopłynąć do brzegu, mimo wielkiej utraty krwi, która tryskała z oderwanego przedramienia lewej ręki. Ludność tych okolic różnemi sztuczkami stara się codziennie ująć napaści tygrysa, boa dusiciela, krokodyla, lub innego drapieżca i każdy żyje w ciągłym pogotowiu. Krokodyle żyjące w Apure poruszały się podczas ataku bardzo zręcznie, natomiast w chwili gdy nie były podniecone gniewem czy głodem, pęzły leniwo i ospale.

Zdala już słyszeliśmy szelest, jaki wydawały zapewne poszczególne, trące o siebie płyty tarczy krokodyla, idącego po ziemi, W wodzie pływały prostolinijnie, zbacząc pod kątem, jak strzały trafiające w cel. Mogą się jednak także wyginać. Widziałem nieraz jak młody krokodyl gryzł się w ogon, a inni zauważyli to samo u starych. Pływają one doskonale i to pod silny nawet prąd, zdaje się jednak, że płynące z prądem nie mogą szybko zawrócić. Wzięliśmy ze sobą w drogę wielkiego psa, pies ten został napadnięty w wodzie przez krokodyla i uratował się w ten sposób, że wykonał nagły skręt pod prąd. Krokodyl uczynił ten sam ruch, ale znacznie powolniej, tak że nie dosięgnął swego łupu. Krokodyle Apury żywią się świniami wodnymi, które żyją na wybrzeżach w stadach po kilkadziesiąt sztuk. Biedne te gryzonie, wielkości naszej świni, nie posiadają żadnej broni, biegają lichy, pływają trochę

lepiej, to też pożerane bywają przez krokodyle w wodzie, a przez tygrysy na lądzie. Mnożą się zato szybko, jak świnki morskie sprowadzane do nas z Brazylii, i tem podtrzymują istnienie gatunku. Pod Jovalem przybrał krajobraz nader dziki wygląd. Tutaj napotkaliśmy największego jaguara, jaki nam się pokazał na oczy przez cały ciąg podróży. Nawet Indianie zdumieli się jego długością, gdyż przekraczała długość największych tygrysów amerykańskich. Zwierz leżał w cieniu drzewa z łapą na

ciele upolowanej świni wodnej, otoczony sępami, zwanymi tu zamuros. Czekwały na resztki uczyty, objawiając jednocześnie strach i zuchwalstwo. Podchodziły na dwie stopy do jaguara, ale za najmniejszym ruchem cofały się w popłochu. Chcąc się temu obrazowi lepiej przyjrzeć podpłynęliśmy małą kanoą, jaką mieliśmy na pirodze naszej, wiedząc, że tygrys rzadko napastuje łodzie w wodzie i czyni to jeno w chwilach wielkiego podrażnienia głodem. Usłyszawszy szum wiosła wstał zwolna i schował się w krzaki. Z ruchu tego skorzystały natychmiast sępy i rzuciły się na jego zdobycz. Ale wypadł zaraz i rozpędził je, bijąc się gniewnie ogonem po bokach. Porwawszy upolowaną zwierzynę cofnął się w las, ku wielkiemu żalowi Indjan, którzy radziby byli wylądować i zaatakować go. Niestety, nie mieli ze sobą lanc. Obeznani z tą bronią dobrze uczynili nie ufając naszym strzelbom, które zresztą często zawodzą w tem wilgotnem powietrzu. Spędziliśmy noc, jak zwykle, pod gołym niebem, ale na plantacji pewnego łowcy tygrysów. Był całkiem goły i czarno-brunatnej barwy, mimo to jednak zaliczał się do rasy białej. Żonę swą i córkę, również zresztą gołe, zwał: donna Izabela i donna Ma-

nuela. Przynieśliśmy ze sobą świnię wodną i chcieliśmy ją upiec, ale gospodarz zastrzegł się przed takim "czysto indjańskim" jedzeniem i ofiarował nam, jako



ludziom wykwintnym, piecyste z jelenia, którego ubił poprzedniego  
dnia z łuku,  
gdyż nie posiadał strzelby, ni prochu.  
Byliśmy pewni, że poza laskiem bananowym stoi chata plantatora.  
Ale człowiek  
ten, tak dumny z przynależności do białej rasy i szlachectwa swego,  
nie uznał za  
potrzebne stawiać domu. Zapropomował byśmy zawiesili nasze  
hamaki na pniach  
drzew, tuż obok jego obozowiska i zapewnił z miną wielce pyszną, że  
gdy wrócimy  
podczas pory deszczowej tą samą drogą, zastaniemy go już napewno  
pod dachem  
(baxo techo). Około północy zerwała się gwałtowna burza.  
Błyskawice rozdzierały  
powietrze, grzmiało przeraźliwie i deszcz nas przemoczył" do nitki.  
Podczas tej  
burzy zdarzył się dziwny wypadek, który nas rozweselił potrosze. Kot  
donny  
Izabeli wdrapał się na tamaryndę tuż nad głową jednego z naszych  
towarzyszy.  
Stracony wichrem, spadł nań i zaczął drapać, a zbudzony ze snu  
nieborak krzyczał  
na całe gardło, przekonany, że go napadł jakiś dziki zwierz.  
Pospieszyliśmy mu  
na pomoc i przekonali się, że mu nic nie zagraża. Deszcz przemoczył  
nas samych,  
przybory i instrumenty, a mimo to winszował nam gospodarz, don  
Ignacio, żeśmy  
nie nocowali na wybrzeżu, tylko w jego posiadłości entre gente blanca  
y de  
trato, (pośród ludzi białych, z wyższych sfer). Trudno było,  
Copravda, dostrzec  
różnicę, ale nie sprzeciwiałem się.  
Dnia kwietnia o świcie pożegnaliśmy don Ignacia i jego żonę.  
Pochłodniało  
znacznie, bo termometr, wskazujący podczas dnia do stopni Cel-

sjusza spadł teraz na stopnie. Prąd niósł ogromne masy drzewa.  
Oczom  
przedstawiała się bezkresna równia, przez którą siła prądu powinna być  
była  
wyłobić sobie prostolinijny kanał. Tymczasem, zgoła co innego  
mówiła karta,  
którą wykreśliłem stosownie przy pomocy kompasu.  
Woda nie natrafia na obu brzegach na ten sam opór warstw ziemi, a  
niedostrzegalne wprost wzniesienia gruntu powodują liczne zakręty.  
Minęliśmy  
płaską wysepkę, na której gnieździły się tysiącami różowe flamingi,  
gęsi-  
warzęchy, czaple i kurki wodne, co tworzyło razem obraz niezwykle  
barwny i  
ciekawy. Ptaki siedziały obok siebie tak gęsto, że zdawały się nie móc  
uczynić  
poruszenia. Wyspa ta zwie się też Isla de aves — ptasia wyspa.  
Dotarłszy do miejsca, gdzie rzeka wyłobiła sobie nowe koryto,  
przenocowaliśmy  
na pustym brzegu, że zaś trudny był dostęp po nocy do lasu, z wielką  
trudnością  
zdobyliśmy suche gałęzie na ognisko, bez którego nie można  
nocować, gdyż jest to  
jedyne odstraszenie dzikich zwierząt.  
Noc była cicha, księżycowa, nad wodą leżały krokodyle, patrząc w  
nasze ognisko.  
Zauważyliśmy, że światło je zwabia, podobnie jak ryby, raki i inne  
zwierzęta  
wodne. Indjanie pokazali nam na piasku ślady trzech jaguarów, z  
których dwa były  
młode. Niezawodnie matka prowadziła tędy dzieci swe do wody. W  
braku drzew,  
zatknęliśmy wiosła w piasek i w ten sposób zawiesiliśmy nasze  
hamaki. Do

jedenastej cicho było, potem jednak powstał w pobliskim lesie taki hałas, że trudno było zasnąć. Wrzeszczały razem wszystkie zwierzęta, z tego rozgwaru wyróżnić można było poszczególne głosy małp ogoniastych, zwanych djabłami leśnymi, wyjców, jaguarów,

kuguarów czyli lwów amerykańskich pozbawionych grzywy, świń piżmowych, leniwców, hokka, paraguy i innych ptaków z rodziny kuraków. Pies nasz szczekający bezustannie zaczynał wyc za zbliżeniem się jaguara i uciekał pomiędzy hamaki. Często po krótkiej przerwie zaczynały ryczeć z wierzchołków drzew kuguary, oraz dolatały przeciągłe pogwizdy małp głoszących niebezpieczeństwo. Takie noce miewaliśmy na Apure i przywykliśmy do nich z czasem dopiero. Przez całe miesiące, podróżując wodą, żyliśmy w ciągłym sąsiedztwie drapiezców. Beztroska Indjan naszych dodawała nam jednak odwagi. Wmawialiśmy w siebie za ich przykładem, że np. jaguary boją się ognia i nie napadają nigdy śpiącego w hamaku człowieka. W istocie przez cały czas pobytu w Ameryce południowej usłyszałem o jednym jeno wypadku rozszarpania pewnego llanero, czyli myśliwca śpiącego w swej siatce napowietrznej. Pytaliśmy Indjan, czemu zwierzęta robią taki hałas o pewnych godzinach nocy, a oni odpowiadali żartobliwie: — Modlą się do księżyca! — Oczywiście zwierzęta polują i walczą ze sobą w ciemni nocnej. Jaguary napadają świnie piżmowe, a

zwierzęta te bronią się w ten sposób, że zbite w wielkie stada, pędzą na oślep depcząc i wyrrywając krzaki i zarośla. Przerazone małpy gwizdzą z drzew, zwiększając hałas, a ptaki dopełniają koncertu. Przekonałem się zresztą, że nie tylko w księżycowe noce tak hałasują zwierzęta, dzieje się to także podczas burzy i nawalnego deszczu. Niech Bóg nam użycz spokojnej nocy! — mawiał pewien mnich, z którym odbyliśmy część drogi po Rio Negro. Nie było to, zaiste, zdawkowym życzeniem, bo nieraz upadając po trudach

dnia nie mogliśmy zasnąć, mimo, żeśmy się znajdowali przecież w pustoci leśnej i zupełnej samotni. Dnia kwietnia wyruszyliśmy przed świtaniem. Ranek był pogodny i stosunkowo chłodny, gdy termometr w powietrzu wskazywał tylko stopni Celsjusza. Ale piasek wybrzeża wystawiony bezpośrednio na promieniowanie słońca miał temperaturę stopni. Po rzece sunęły długimi szeregami delfiny (toniny), a brzegi pokryte były ptakami rybożernymi. Niektóre wskakiwały na płynące kłody drzewa i chwytaly zniecka łup. Kilkanaście razy natknęliśmy się na sterczące skośnie z wody pnie, które tkwią tak całymi latami i narażają na rozbicie słabsze łodzie. Podczas przyływu morza pnie te dostają się do rzeki i zatykają ją czasem całkiem, tak że jazda pod prąd jest wprost niemożliwa. Pirogi

krajowców rozbijają się na wytworzonych przez to mieliznach i wirach.  
Od czasu wyjazdu z San Fernando nie napotkaliśmy ani jednej kanoi na tych pięknych wodach. Wokoło panowała zupełna samotność. Rankiem dnia kwietnia schwytali nasi Indianie na wędkę rybę, zwaną tu karibe lub, karibito. Jest ona tak krwiożerczą, że napada ludzi podczas pływania i wyrywa im spore kawałki ciała. Chociaż jedna rana jest niewielka, to napadniętemu trudno ująć z życiem, gdyż zanim dopłynie do brzegu, cały bywa poszarpany. Indianie boją się bardzo tej ryby i pokazywali mi liczne, głębokie blizny pochodzące z jej ukąszenia. Żyje ona na dnie, ale wystarczy wpuścić kilka kropel krwi w wodę, a natychmiast wypływają tysiące na powierzchnię. Są one bardzo liczne, a chociaż mają zaledwo ośm do dwunastu centymetrów długości, to skutkiem swych ostrych, trójsiecznych zębów

i rozszerzalnej niezwykle paszczy stanowią plagę ludności. Rzuciliśmy kilka kawałków krwawego mięsa w miejsce gdzie woda była zupełnie czysta, bez śladu jakichkolwiek zwierząt. Natychmiast niemal wypłynęło stado caribów i rzuciło się na żer. Wylądowaliśmy około południa na pustkowiu, zdala od lasu. Towarzysze nasi wyciągnęli łódź na ląd i zabrali się do przyrządzania posiłku, ja zaś ruszyłem

brzegiem, chcąc się przypatrzeć grupie śpiących w słońcu  
krokodyłów. Małe,  
śnieżno-białe czaple biegały im po grzbietach, głowie, a nawet włożyły  
do  
otwartych paszcz. Były zielonawe i pokryte błotem, tak że można je  
było wziąć za  
odlewy spiżowe. Spacer ten omal mnie nie pozbawił życia.  
Zapatrzony w rzekę  
przystanąłem, by podnieść kawałek łyszczyku, gdy nagle ujrzałem  
świeży trop  
jaguara, tak łatwy do rozpoznania. Obejrzawszy się zobaczyłem w  
odległości  
jakichś kroków ogromną bestję leżącą pod drzewem, w gąszczu. Nie  
widziałem  
dotąd tak wielkiego zwierza z rodziny tygrysów.  
Przerażony wielce nie zapomniałem jednak o naukach pewnego  
Indjanina, który mi  
powiedział jak się należy zachować w takim wypadku. Poszedłem  
dalej powolnym  
krokiem, nie ruszając rękami. Przekonałem się niebawem, że cała  
uwaga zwierza  
skierowana była na stado tapirów, przepływających rzekę. Po dobrej  
chwili  
zawróciłem ku brzegowi, opisując duże koło. Ciągle miałem ochotę  
obejrzeć się,  
czy jaguar idzie za mną. Na szczęście uległem tej pokusie dopiero w  
znacznej  
odległości i spostrzegłem, że jaguar został na miejscu. Widocznie te  
wielkie  
koty z pstrą sierścią tak są tutaj nasycone tapirami, świńmi  
piżmowemi i  
jeleniami, że nie biorą

się do człowieka. Dopadłem bez tchu obozowiska i opowiedziałem  
swą przygodę, ale

Indjan jakoś wcale to nie wzruszyło. Mimo to nabiliśmy strzelby i poszliśmy na miejsce gdzie napotkał jaguara, ale go już nie było. Szukać go po lesie nie chciałem, gdyż trzeba było iść z osobna, albo torować sobie drogę przez gęste pnącze.

Wieczorem minęliśmy ujście Kano del Manati, tak zwane z powodu ogromnej ilości połowionych tu krów morskich, (manati, lub lamanti). To trawożerne wodne zwierzę ssące dochodzi tu do dziesięciu i dwunastu stóp długości, zaś waży do

funtów. Wodę pokrywały ich odchody podobne do bydłych, ale bardziej cuchnące,

Lamanti połyka mnóstwo trawy, ma żołądek podzielony na mnóstwo komór i sto ośm

stóp długie kiszki. Sam widziałem to wszystko napełnione trawą.

Rozciąwszy to

zwierzę zdumiałem się wielkością, kształtem i położeniem płuc jego.

Tkanka płuc

ma wielkie oczka i przypomina ogromny pęcherz pławny. Łapia je przeważnie po

znaczniejszych powodziach, kiedy się z rzek dostają do licznych jezior i

moczarysk. Ze skóry krowy morskiej, półtora cala grubej, robią pletnie, używane

niestety na niewolników, a nawet Indjan, których prawo uznaje za wolnych

obywateli.

Indjanie nasi rozłożyli tuż nad wodą wielkie ognisko i ponownie zauważyłem, że

światło przywabia krokodyla, a nawet delfiny (toniny), które sprawiają hałas,

przeszkadzający w spaniu.

Tej nocy dwa razy zrywali się na nogi. Raz podeszła do obozowiska samica

jaguara z młodem, by je napoić w rzece, a gdy ją odpędzono,  
jaguarzeta  
miauczały długo, niby nasze koty. Niedługo potem ukąsił naszego psa  
w nos jeden  
z olbrzymich, lata-

jących wokoło ognia nietoperzy. Pies wył żałośnie nie tyle z bólu, co  
ze strachu  
przed nieznanym stworzeniem.  
Dnia kwietnia spostrzegliśmy z niejakim wzruszeniem po raz  
pierwszy  
upragnione zdawna wody Orinoka i to w miejscu tak bardzo odległym  
od wybrzeża  
morskiego.

## WYSPA ŻÓŁWI SZYLDKRETNIKÓW.

Z chwilą opuszczenia wód Apure znaleźliśmy się w całkiem  
odmiennym kraju. Oczom  
naszym ukazała się bezbrzeżna, podobna olbrzymiemu jezioru  
płaszczyzna wody, W  
powietrzu nie brzmiały już przenikliwe wrzaski czapeł, flamingów i  
warzęch  
przelatujących z brzegu na brzeg. Daremnie też rozglądaliśmy się za  
ptakami  
pływającymi. Życie przyrody nie było tu tak bujne. Gdzieś tam  
tylko w  
zatokach duże krokodyle przecinały w poprzek pole, sterując  
potężnymi ogonami.  
Widnokraj otaczał pas lasów, ale nie dochodziły one aż do koryta  
rzeki. Brzegi  
spalone żarem, nagie, jałowe, jak brzegi morza wydawały się z oddali,  
skutkiem  
załamania światła, wielkimi łachami wody stojącej.



Mieliśmy silny wiatr od północnego wschodu, co nam ułatwiało  
żeglowanie pod prąd  
w stronę misji Enkaramada, ale piroga nasza stawiała tak mały opór  
wodzie, że  
skłonni do choroby morskiej czuli się bardzo nieswojo. Bałwany  
powstają skutkiem  
zderzenia się dwu prądów rzecznych.  
W porcie misji Enkaramada spotkaliśmy karaibskiego kasyka  
zdążającego w swej  
pirodze pod prąd

rzeki na słynny połów żółwi szyldkretowych. Był małomówny,  
poważny, a hołdy  
oddawane mu przez świętę świadczyły, że jest wielką osobistością.  
Ubranie jego  
nie różniło się zresztą od strojów dworzan, wszyscy byli mianowicie  
nadzy,  
pomalowani i mieli w rękach łuki i strzały. Władca, świta, służba,  
broń,  
przybory i łódź, wszystko było posmarowane na czerwono.  
Karaibowie ci byli  
niemal atletycznej budowy ciała i przerastali znacznie Indjan, jakich  
dotąd  
widzieliśmy. Mieli gęste, gładkie włosy, przycięte nad czołem i  
czarno barwione  
brwi, co przy bystrem, przenikliwym spojrzeniu nadawało im wygląd  
twardy. Rosłe,  
bardzo brudne i budzące wstręt kobiety miały dzieci na plecach.  
Dnia kwietnia przybyliśmy do Boka de la Tortuga, czyli do portu  
żółwiego. Koło  
południa zarzucono kotwicę u wyspy, pośród rzeki położonej, a  
słynnej z połowu  
żółwi, czyli, jak tu mówią, dorocznego zbioru jaj. Zastaliśmy  
mnóstwo Indjan

koczujących w chatach z palmowych liści. Obozowisko składało się z trzystu conajmniej ludzi. Nawykli do samotności od wyjazdu z San Fernando i podczas podróży po Apure, zdziwiliśmy się ruchem, jaki tu panował. Każdy szczep był innym kolorem pomalowany. Pośród Indian było kilku białych, kramarzy z Angostury, zwanych "pulperos". Przybyli oni na zakup oleju żółwiego. Napotkaliśmy też misjonarza z Uruany. Zdumiony był naszą obecnością, przyborami i instrumentami i w sposób przesadny odmalował trudy i niebezpieczeństwa podróży przez Orinoko, aż poza katarakty. Tajemniczym wydał mu się także cel naszej podróży:  
— Któż uwierzy — powiedział — żeście wyruszyli z ojczyzny poto, by się dać zjeść moskitom na Orino-

ku i by odmierzać ziemię, która nie jest własnością waszą?  
Ten zakątek ściąga ludzi zewsząd, podobnie jak w Europie targi lipskie, lub frankfurckie.  
— Jak okiem sięgnąć — dodał misjonarz — znajdują się pod warstwą ziemi żółwie jaja.  
Pouczał nas, szturkając długą laską, jak należy badać głębokość jajonośnego pokładu, na sposób górnika sondującego warstwę morglu, rudy żelaznej, czy węgla.  
Orinoko zaczyna przybierać w okresie wiosennego zrównania dnia z nocą, to też od stycznia blisko do końca marca wybrzeża rzeki są suche. Jawią się tu w czasie

składania jaj tysiączne rzesze żółwi. Wędrują szeregami,  
wyciągnawszy szyje  
ponad wodę i bacznie śledząc, czy nie grozi niebezpieczeństwo od  
tygrysów i  
ludzi. Indianie ustawiają wzdłuż brzegów strażę, by żółwie mogły  
spokojnie  
składać jaja i by się nie rozpraszały. Statki muszą też stawać pośród  
wody, a  
załoga milczy, nie chcąc ich straszyć. Składanie jaj' odbywa się  
zawsze nocą,  
począwszy od zachodu słońca. Zwierzę wykopuje długimi tylnymi  
nogami, o  
skośnych pazurach dziurę trzy stopy długą i dwie stopy głęboką.  
Żądza składania  
jaj jest u żółwi tak wielką, że nieraz składają one dwie warstwy, jedną  
na  
drugiej, w nieprzykryte jeszcze doły swych towarzyszy. Misjonarz  
rozkopywał  
laską piasek i pokazywał nam mnóstwo jaj zgniecionych podczas  
tego, zapalczywego  
składania. Straty dochodzą jednej trzeciej całego plonu. Widzieliśmy  
piasek  
kwarcowy i potłuczone skorupy zlepione w wielkie gruzły żółtkiem  
jaj. Jest tyle  
żółwi na brzegu, że nieraz zastaje je dzień na składaniu jaj. Wówczas  
spieszą  
się jeszcze bardziej, by znieść i przykryć je przed

wzrokiem tygrysa, nie zważając na bezpieczeństwo własne. Dzieje się  
to w oczach  
Indian przybywających rankiem nad brzeg, którzy zwą te żółwie  
"szalonymi".  
Indianie rozkopują ziemię rękami, zbierają jaja w koszyki, niosą do  
obożu i

rzucają w wielkie kadje z wodą. Tam je rozgniatają szuflami i mieszają masę, aż pływające po powierzchni żółtko należycie zgęstnieje. Tę część tłustą zbierają i gotują na silnym ogniu. O ile jest to należycie wykonane, produkt daje olej czysty, bezwonny z lekka jeno żółtawy. Misjonarze cenią go jak najlepszą oliwę i używają do potraw. Mimo szybkości tej operacji niezliczone masy małych, wyklutych żółwi rozpraszają się po brzegach rzeki. Widziałem sam w składzie głównym w Uruanie młode, na cał szerokie żółwie umykające do wody przed dziećmi indyjskimi. Pokazywano mi ogromne skorupy żółwi wypróznione przez jaguary. Także i tygrysy ścigają żółwie po brzegu, przewrócą na grzbiet i zjadają wygodnie wyrrywając mięso z pomiędzy pancerza brzuszego i górnego. Tygrys przewraca więcej żółwi, niż ich może zjeść w ciągu nocy, leżą one więc w ten sposób ubezwładnione, a Indianie korzystają z tego. Wydobycie mięsa z pomiędzy pancerzy jest rzeczą trudną, a tygrys postępuje jak najwprawniejszy chirurg, przegryzając mięśnie, stawy i podnosząc pancerze z jednej strony. Włazi on nawet w niezbyt głęboką wodę, ścigając zdobycz i wygrzebuje jaja. Żółw ma w nim tedy nielada wroga, również krokodyl, czapla i galinazo, rodzaj sępa, pożerają mnóstwo młodych żółwi. Ubiegłego roku nawiedziła taka masa krokodyli, podczas zbioru jaj żółwich, wyspę Pararuma, że Indianie schwytali w ciągu jednej nocy ośm-

naście sztuk, długich na dwanaście do piętnastu stóp, używając do tego długich żelaznych haków, z mięsem krów rzecznych, jako przynętą. Poza zwierzętami szkodzą wytwarzaniu oleju żółwiego także Indianie dzikich szczepów, którzy zabijają zatrutymi strzałami wygrzewające się na słońcu żółwie. Dzieje się to w czasie pierwszych deszczów wiosennych tak zwanych "deszczów żółwich". Około czwartej po południu podnieśliśmy kotwicę. Wiatr dał chwilami silnie. Od chwili kiedyśmy się znaleźli w górzystej okolicy zauważyliśmy, że żagle pirogi naszej są bardzo lichy urządzone. Ale "patron" łodzi chciał pokazać zebranym na brzegu Indianom, że mimo to zdoła z wiatrem wypłynąć na środek rzeki. W chwili gdy sławił nam swą odwagę i zręczność, uderzenie wichru położyło statek na boku. Odrazu staliśmy po kolana we wodzie, a fala przeleciała przez stół w tylnej części umieszczony, przy którym właśnie pisałem. Zdołałem ocalić sam jeno pamiętnik, reszta zaś, to jest papiery, książki i zasuszone rośliny spłynęły na powierzchnię rzeki. Zerwał się Bonpland, śpiący w pirodze i zaczął akcję ratunkową z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała. Wiatr podnosił chwilami zatopioną burtę łodzi, nie straciłem tedy nadziei. Mogliśmy zresztą dopłynąć do brzegu, ponieważ w pobliżu nie było krokodyli. Nagle zerwała się lina żagla i ten sam wicher, który nas obalił, postawił pirogę

w normalnej pozycji. Wyczerpaliśmy wodę łupinami z dyni, naprawili żagiel i w niespełna pół godziny wszystko było gotowe do dalszej podróży. Uratował nas cud istny. Czyniłem wyrzuty sternikowi, on zaś odparł z indyjską flegmą, że "białym ludziom nie zabraknie tu słońca, dla

wysuszenia papierów". Przepadł nam tylko pierwszy tom "Pokoleń roślinnych" Szrebera, ale strata owa w tych warunkach była bardzo dotkliwa. Za nadejściem nocy stanęliśmy na samotnej wysepce, w pobliżu misji Uruana. Spożyliśmy wieczerzę, siedząc na olbrzymich pancierzach żółwi, leżących w piasku, a przyświecał nam wspaniale księżyc. Radowało nas, że nikogo nie brakło. Wyobrażaliśmy sobie co musi odczuwać człowiek, który ocalał sam jeno z katastrofy i błądzi po wyspie, nie mogąc nawet dopłynąć do brzegu Orinoka z powodu krokodyli i ryb krwiożerczych. Dnia kwietnia przepłynęliśmy rodzaj cieśniny, gdyż koryto zwężyły tu strome skały. Daremnie szukałem roślin w szczelinach tych pionowych ścian, nieznacznie uwarstwionych. Skały te obsiadły gęsto legwany i gekosy, o szerokich, skórzastych palcach nóg. Jaszczurki trwały w bezruchu zupełnym, z otwartymi paszczami i podniesionymi głowami, sycąc się gorącem, które, jak stwierdziłem termometrem przyłożonym do skały, wynosiło stopnie Celsjusza. Ziemia zdawała

się falować skutkiem drgania powietrza, cisza panowała zupełna, a słońce sięgało zenitu i odbijało się w wodzie jaskrawo od rudawej mgły przysuwającej wszystkie przedmioty. Głębokie czyni wrażenie w tych gorących okolicach cisza południowa. Zwierzęta leśne zagrzebują się w gęstwinę, ptaki włączają pod liście drzew, lub szczeliny skał. Ale ucho chwyta głuchy szelest, nieustanny brzęk owadów krążących w niższych warstwach powietrza wokoło spalonych słońcem roślin. Nic lepiej uzmysłowić nie może potęgi organicznego życia. Z każdego krzewu, wypróchniałego pnia, ze

szczeliny skalnej, ze ziemi dolata cichy akord życia. Jaszczurki, stonogi, cecylje, drążą sobie podziemne chodniki, a odgłos ten wyraźnie pochwycić można w głuszy. Tysięczne tony świadczą, że wszystko w naturze oddycha, rozkwita w tysięcznych kształtach i napełnia powietrze, ziemię i wodę. Dziewiątego kwietnia dotarliśmy rankiem do Poranimy i napotkaliśmy obóz Indjan, przypominający także obóz w Boka de la Tortuga. Zebrali się, by zbierać jaja, i gotować olej. Ale przybyli, niestety, o parę dni zapóźno. Młode żółwie wykluły się już, a także okoliczność tę wyzyskały krokodyle i garcje, wielkie, białe czaple. Ptaki te lubią niezmiernie mięso młodych żółwi i pożerają je tysiącami.

Wyruszają na łowy nocą, bowiem żółwie wyłazą z ziemi dopiero o zmierzchu i zdążają ku wodzie. Sępy, zwane zamuros, są zbyt leniwe by polować po zachodzie.  
Za dnia wałęsały się w pobliżu obozu Indjan, porywając jadło. Zazwyczaj muszą one dla zaspokojenia głodu chwycić na lądzie, lub po płyciznach młode kilkocalowej długości krokodyle. Krokodylęta bronią się wrogom w ten sposób, że stają na przednich nogach, garbią grzbiet i rozwierając paszczę straszą zębami, które są już długie i ostre u wyklutych świeżo młodych. Przytem obracają się przodem do wroga, choć czynią to powoli i niezdarnie. Często zdarza się, że podczas gdy jeden zamuro zajmuje uwagę zwierzątka, drugi spada nań zgóry, porywa za kark i unosi w powietrze,  
W Pararumie napotkaliśmy pośród Indjan kilku, białych, z Angostury. Skarżyli się oni nudnie na zły zbiór jaj i szkody wyrządzone przez tygrysy. Wszedłszy do wnętrza ajupy, czyli szałas, ujrzeliśmy w obozie Indjan misjonarzy z Karichany i okolic katarakt.

Grali w karty i palili z długich fajek. Mieli głowy ostrzyżone, długie brody, niebieskie fałdziaste kaftany i wyglądali na orjentalów. Zakonnicy ci przyjęli nas bardzo gościnnie i udzielili informacji potrzebnych w dalszej drodze, Od kilku miesięcy trapiła ich silna febra powracająca co trzy dni, byli bladzi,



wyczerpani i patrząc na nich przekonaliśmy się, że zdrowie nasze  
będzie narażone  
na poważny szwank, w okolicach, jakie zwiedzić zamierzamy.  
Tutaj odmówił nam dalszych usług sternik Indjanin, wiozący nas z  
San Fernando  
przez Apure do Pararumy, Nie chciał on za nic jechać przez  
wodospady Orinoka i  
musieliśmy się poddać jego woli. Na szczęście sprzedał nam jeden z  
misjonarzy z  
Karichany bardzo tanio piękną pirogę, a misjonarz z Atures i  
Maypures, w  
okolicach wielkich katarakt pater Bernardo Zea oświadczył, chociaż  
był chory, że  
dowiezie nas do granicy Brazylii. Wielki był tu brak Indjan  
zdecydowanych ruszyć  
poza wodospady, to też gdyby nie misjonarze, musielibyśmy byli  
pozostać przez  
całe tygodnie w tej wilgotnej, niezdrowej okolicy. Lasy nad Rio  
Negro uważali  
wszyscy za kraj cudowny i rzeczywiście okazało się potem, iż  
powietrze było tam  
świeższe, rzeka wolna od krokodyli, co umożliwiało kąpiel nawet w  
nocy, a owady  
nie kęsały tak jak na Orinoku. Pater Zea żywił nadzieję odzyskania  
zdrowia na  
Rio Negro, gdzie miał objechać poszczególne stacje misyjne. Mówił o  
tamtych  
okolicach z zapałem, jakie zawsze budzi rzecz nieznaną.  
Zebrani w Pararumie Indjanie dziwne wywołali we mnie refleksje.  
Człowiek  
kulturalny, patrzący na dzikich nie może się zgodzić, by to miał być  
typ  
pierwotny ludzkości i by ci ponurzy, milczący, obojętni

Indianie wyobrażali człowieka w dziecięcym okresie jego rozwoju.  
Wolimy  
przypuszczać raczej, że ci tubylcy, smarujący ciało błotem i  
tłuszczem, siedzący  
bezmyślnie na żółwich pancerzach wokoło ogniska i zagapieni na  
przyrządzany  
napój, są to resztki zwyrodniałych ludzi pierwotnych, żyjących bardzo  
dawno  
wśród tych lasów, a popadłych dziś w barbarzyństwo.

## WODOSPAD W ATURES.

Nowa przeznaczona dla nas piroga naładowana została jeszcze przed  
wieczorem.  
Była ona, jak wszystkie indyjskie kanoe, wyciosana i wypalona potem  
z pnia  
drzewa, długa na stóp czterdzieści, a trzy stopy szeroka. Nie mogły w  
niej  
siedzieć obok siebie trzy osoby. Pirogi są łatwo zwrotne i chybkie, ale  
zarazem  
tak mały opór stawiają wodzie, że chcąc na chwilę wstać, trzeba wołać  
na  
wioślarza, by przesiadł na przeciwległą stronę. Inaczej  
nierównomiernie  
rozłożony ciężar spowoduje zanurzenie jednej z burt pod wodę.  
Trudno sobie  
wyobrazić, jak łódź taka jest niewygodna,  
Dopiero kwietnia o dziesiątej rano mogliśmy wyruszyć w drogę, Z  
trudem  
przywykliśmy do nowej pirogi, będącej nowem więzieniem. Chcąc  
zyskać bodaj  
trochę na szerokości zrobiliśmy w części tylnej poprzeczną kratę z  
prętów  
sterczącą po obu stronach poza burty, nad nią zaś dach z liści. Ale  
dach ten, el  
toldo, był bardzo niski, tak że trzeba było pod nim siedzieć w kucki,  
albo

leżeć, nie widząc nic. Nie sposób było podnieść dachu, gdyż

dawałby zbyt wielki opór wiatrowi i utrudniał wiosłowanie pod prąd rzeki, a przytem obciążyłyby łódź, którą i tak trzeba było wlec lądem od jednej do drugiej katarakty. Pod dachem mogły leżeć cztery osoby, ale nogi wystawały daleko poza kratę, a w razie deszczu mokliśmy aż do kolan. Posłanie ze skór wolicz i tygrysiach nie było również wygodne, gdyż pręty gniotły poprzez cienką ich warstwę. Przednią część pirogi zajmowali wiosłarze, z krótkimi łopatkami, wiosłujący w takt monotonnej pieśni. Klatki, coraz to liczniejsze, z małpami i ptakami wisiały pod dachem. Była to nasza menażerka podróżna, a chociaż dużo zginęło skutkiem przypadków i z gorąca, to jednak po powrocie z Kasikuiare mieliśmy ich jeszcze czternaście. Podczas obozowania zwierzęta i przyrzędy umieszczano zawsze pośrodku, wokoło hamaki, potem ślali sobie łoża Indjanie, a na "zewnątrz rozpalano krąg ognisk, dla odstraszenia jaguarów. Świece małpy zaczynały wrzeszczeć w odpowiedzi małpom leśnym, a ta sympatja zwierząt w niewoli dla zwierząt wolnych była wprost wzruszająca. Piroga była tak przepełniona, że suszone rośliny, kufry, sekstans, kompas i instrumenty meteorologiczne mieściły się pod kratą, na której leżeliśmy wyciągnięci przez większą część dnia. Chcąc dobyć coś z kufra, czy użyć

instrumentu trzeba było przybijać do brzegu i wysiadać. Dołączała się do tych niewygód jeszcze plaga moskitów, grasujących pod niskim dachem, oraz żar wydzielany przez nagrzane z góry liście palmowe. Co chwila staraliśmy się urządzić jakoś znośniej, ale nie było sposobu. Jeden krył się przed komarami pod prześcieradło, drugi radził rozpalić pod dachem ognisko, dla ich odpędzenia. Ale

dym gryzł w oczy, a ognisko zwiększało jeszcze upał. Wszystkie te przeciwności znosiliśmy jednak jakoś pogodnie, złączeni serdeczną sympatją i rozkoszując się wspaniałą przyrodą tych okolic nadbrzeżnych. Szczegóły te podaję też nic poto, by się użalać, ale dla scharakteryzowania żeglugi po Orinoku i uzasadnienia, czemu nie mogliśmy, wraz z Bonplandem, mimo najlepszych chęci, dokonać wszystkich spostrzeżeń i wykorzystać naukowo w pełnej mierze podróży. — Od misji mojej będziecie podróżowali, jak niemi — rzekł zacny zakonnik przybywszy do Uruany. Przepowiednia ta ziściła się niemal dokładnie. Często nie mogliśmy się porozumieć z krajowcami mimo kilku tłumaczy i wielokrotnego powtarzania jednych pytań. Istnieje takie mnóstwo narzeczy nad Metą, Orinoko, Kasikuiare i Rio Negro, że nie sposób ich ogarnąć przy największych nawet zdolnościach językowych. Taką była sytuacja nasza począwszy od Angostury, aż do fortu San Karlos nad Rio Negro,

Jedenastego kwietnia pod wieczór chmury pokryły niebo, wiatr uderzał, to znów chwilami cichł zupełnie, a wszystko świadczyło, że nadciąga burza. Niebawem lunął deszcz, który nas przemoczył mimo liściowego dachu, płosząc jeno na pewien czas nieznośne komary. Dotarliśmy do katarakty Karivenu, a prąd wody wzmógł się tak, że ledwo zdołaliśmy wylądować, gdyż ciągle porywał pirogę ze sobą. Wkońcu skoczyło w wodę dwu salivas'ów, wyśmienitych pływaków i wzięwszy statek na linę przytroczyli go do nagiej skały, na której przenocowaliśmy. Burza trwała długo w noc i ciągle baliśmy się, że fale oderwą pirogę od lądu.

Dwunastego kwietnia ruszyliśmy dalej, o czwartej rano, a misjonarz wyraził obawę, że trudno nam będzie przebyć progi skalne przy ujściu rzeki Mety. Indianie wiosłowali przez dwanaście godzin bez przerwy, nic nie jedząc prócz manjoku i bananów. Jest to rzecz nader trudna przewyciężyć prąd wody pod kataraktami. Indianie z nad Orinoko i Amazonki czynią to jednak, podróżując przez dwa miesiące wodą. Zdumiewa siła fizyczna i wstrzemięzliwość tych ludzi. Mąka i ciała zawierające cukier, czasem ryby i tłuszcz żółwich jaj zastępują im pożywienie, jakie dają ptaki i ciepłokrwiste zwierzęta. Łóżysko rzeki, na przestrzeni tysiąca dwustu metrów było zasypane złamami granitu. Miejsce to posiada nazwę Raudal de Kariven, Przemykaliśmy kanałami

pięciu nieraz zaledwo stóp szerokości, a czasem wpadała piroga  
pomiędzy dwa  
bloki, utykając pośród nich. Unikaliśmy miejsc, któredy woda pędziła  
z hukiem.  
Ale nie zachodzi tu niebezpieczeństwo prawdziwe, o ile ma się  
dobrego,  
indyjskiego sternika. Gdzie nie można było przełamać prądu,  
wskakiwali w wodę  
wioślarze, przywiązywali linę do skały i przeciągali łódź. Działo się to  
bardzo  
powoli i nieraz wychodziliśmy na wiążące nas skały. Posiadały  
wszelkie kształty  
i barwy, były przeważnie zaokrąglone, czarne, lśniące ołowiano i bez  
wszelkiej  
wegetacji. Wprawia w zdumienie, gdy się widzi jak nagle znika gdzieś  
woda jednej  
z największych rzek świata. Nieraz zdala, od strony brzegu  
widzieliśmy ogromne  
bloki granitu oparte o siebie i zamykające koryto.  
Od ujścia Mety mniej znacznie w Orinoku raf i skał, tak że na  
przestrzeni  
kilometra płynęliśmy Wolnem, szerokim korytem. Indjanie  
wiosłowali,

nie pchając pirogi i nie rozdzierając nam uszu dzikimi okrzykami.  
Noc już  
zapadła, kiedyśmy dotarli do miejscowości, zwanej Raudal de Tabaje,  
Indjanie nie  
mieli odwagi płynąć dalej ku katarakcie, przeto zanocowaliśmy w  
miejscu nader  
niemiłym, na płycie kamiennej, nachylonej pod silnym kątem,  
mieszczącej w  
szczelinach roje nietoperzy. Przez całą noc ryczał w pobliżu jaguar, a  
pies nasz

odpowiadał szczekaniem. Daremnie wyczekiwałem gwiazd na niebie straszliwie

czarnem. Gdzieś, w dali huczał grzmot, a dudnienie wody pod naszymi nogami naśladowało go.

Trzynastego kwietnia przebyliśmy wczesnym rankiem progi skalne i wysiedli na

łąd. Pater Zea chciał odprawić nabożeństwo w nowej, pobliskiej misji San Borja,

założonej przed dwoma laty. Zastaliśmy tam sześć chat, zamieszkałych przez

nowonawróconych guahibów. Nie różnili się oni niczem od dzikich Indjan, tylko w

czarnych, niewielkich oczach tliło ożywienie większe, niż u mieszkańców innych

misji. Nie chcieli nawet skosztować wódki. Kilku z nich miało brody, co ich

napawało widać dumą, gdy brali nas za podbródki, dając do zrozumienia, że są

całkiem do nas podobni.

Guahibowie nawykają bardzo trudno do życia osiadłego. Wolą żyć zgniłymi rybami,

stonogami i robactwem, niż uprawiać kawałek ziemi. Dlatego mówią o nich

pobratymcy z innych szczepów, że guahibo zjada wszystko co znajdzie na ziemi i

pod ziemią.

W miarę posuwania się Orinokiem, ku południowi gorąco nie tylko nie wzrasta, ale

łagodnieje. Ciepłota powietrza wynosiła w dzień do stopni Celsjusza, w

nocy nawet tylko . Mimo to jednak pla-

ga moskitów przybrała rozmiary wprost straszliwe. Nigdzie nie cierpieliśmy tak

bardzo, jak w San Borja. Ledwo się wyrzekło słowo, czy odsłoniło  
twarz, pełno  
było owadów w ustach i w nosie, Skóra piekła nas tak, żeśmy sądzili,  
iż  
termometr wskazuje conajmniej stopni i byli zdumieni, że tak nie jest.  
Noc  
spędziliśmy nad brzegiem Guaripo, ale kąpać się nie miał nikt odwagi,  
z obawy  
przed rybami karaibami, oraz krokodylami, które dochodziły tu do  
dwudziestu  
czterech stóp długości.  
Czternastego kwietnia wyгнаła nas w drogę plaga zancudos już o  
piątej rano. Nad  
wodą mniej było owadów, niż pod lasem. W miarę posuwania się pod  
prąd wody  
rozwierała się przed nami coraz to bardziej urocza panorama  
wybrzeży.  
W poprzek biegu Orinoka biegnie od południa ku północy pasmo  
granitowych gór.  
Dwa razy zatem owa rzeka żłobi sobie koryto w skałach, które tworzą  
progi, wały  
i zapory. Obraz to niesłychanie piękny. Wydaje się, że woda uniesioną  
została w  
górze, złudzenie to wywołuje piana tryskająca wszędzie, mgła wodna  
przelśniona  
słońcem, oraz ogromne wodospady, których nie sposób objąć  
spojrzeniem.  
Przedziwne to zjawisko natury zwróciło już przed wiekami uwagę  
mieszkańców  
Nowego Świata. Gdy Diego de Ordaz, Alfonso de Herera, oraz  
nieustraszony Raleigh  
( angielski wojownik — ) dotarli do ujścia Orinoka, Indianie podali  
im  
wieść o wielkich kataraktach. Ale w opowiadaniach tych pomieszano  
je z  
wodospadami, położonymi dalej na wschód. W gorących krajach  
bujność roślinności



tamuje komunikowanie się ludów pomiędzy sobą, minio to jednak wieści dotyczące wielkich rzek docho-

dzą daleko, Orinoko, Amazonka, oraz Urugwaj pokrywają siecią dopływów i rozlewisk lesisty kraj, zamieszkały przez ludność ludożerczą jeszcze napoły.

Przed dwustu zaledwo laty rozpowszechnić się tu zaczęła religja chrześcijańska,

ale na długo przed wprowadzeniem uprawy roli krążyły wśród licznych,

zwalczających się wzajem plemion pasterskich, najczęściej przy sposobności

handlu zamiennego, wieści o zdumiewających zjawiskach natury, wodospadach,

wulkanach i górach pokrytych śniegiem, nietopniejącym nawet w lecie. W

odległości trzystu mil od wybrzeża, w samym sercu Ameryki południowej, pośród

ludów, których wędrówki nie przekraczają trzech dni podróży, snują się wieści o

oceanie, i wyrażenia oraz znaczenie ogromnej masy wody słonej, nieogarniętej

spojrzeniem. Rozpowszechnianiu się tych wieści pomagają różne wydarzenia, jak

wojny szczepowe, zabieranie niewolników, ucieczka ich, powrót do swoich i

powtarzanie tego, co który słyszał w obcych, dalekich okolicach.

Czasem natrafi

ktoś w wielkiej odległości od morza na kościec kopalnego potworu morskiego i

daje to nowy pochop do opowiadań. Ze zdziwieniem słyszy wędrowiec różne takie

szczegóły z ust tubylców, którzy nigdy nie byli nad morzem. Na niskim stopniu

kultury następuje wymiana myśli wcześniej, niż wymiana produktów. Piętnastego kwietnia opuściliśmy wyspę Panumana przed wschodem słońca. Niebo było zachmurzone i przelatywały błyskawice, ale grzmotów nie było, gdyż burza szalała wysoko w powietrzu, nad ziemią nie było najłżejszego powiewu, a upał panował nieznośny, gdyż żar rozpalonej ziemi odbijał się od chmur i wracał na dół.

Jak zawsze podchodziły do nas jaguary, rycząc tuż w pobliżu. W okolicy katarakt jest ich tyle, że zajmują chaty Indjan, robiąc z nich sobie legowisko, jak mi to opowiadał jeden naoczny świadek. Raz zajęły mu jaguary chatę, w pobliżu konukos wyspy Panumana i po kilku dopiero miesiącach i stoczonej walce zdołał ją odzyskać. Zwierzęta te chętnie szukają schrony w opuszczonych budynkach, a podróżny, jak sądzę, czyni mądrzej nocując pod gołym niebem, przy ognisku, niż w takiej bezpańskiej chacie. Odjeżdżając z wyspy spostrzegliśmy w dali ogniska dzikich guahibów, a misjonarz poradził dać parę strzałów, by ich odstraszyć i przekonać, że się możemy bronić. Ale dzicy nie mieli widocznie łodzi, a pewnie też ochoty ścigać nas po rzece. Gorąco zmusiło nas do odpoczynku w miejscu zacienionem i zabawialiśmy się łowieniem ryb, których było tyle, żeśmy ich nie mogli zabrać ze sobą. Późną nocą dotarliśmy tuż pod wielką kataraktą do zatoki zwanej portem niższym, puerto de

abaxo i udaliśmy się nie bez wysiłku, po ciemku, wąską ścieżyną do misji Atures, położonej o milę od brzegu. Musieliśmy przejść równinę pokrytą wielkimi złomami granitu. Zaczęto wyładowywać pirogę, a tymczasem my z brzegu patrzyliśmy na spienione wody w zacieśnionem korycie. Aż do miejsca przyływu Anaveni, to znaczy na przestrzeni mil żeglować można swobodnie po dolnem Orinoku. Jedyną przeszkodę stanowią pnie drzew wyrwanych w czasie przyboru i niesione na tali. Żleby wyszła na tem piroga, gdyby nocą wpadła na taką kratę z drzewa i roślin wodnych, która Przypomina pływające łąki Missisipi i pływające ogrody jezior meksykańskich. Korzystają z tego In-

djanie chcący napaść jakiś inny szczep. Związują kilkanaście kanoe, nakrywają trawą i gałęzmi, tworząc taką pływającą łąkę, którą woda niesie. Również i karaibowie odznaczyli się, podobno dawniej, wielką biegłością w takim podstępie, dotąd stosowanym zresztą przez przemytników z Angostury, którzy oszukują w ten sposób straż celną. Powyż Anaveni napotyka się katarakty, czyli raudale Atures i Maypures, Obie te zapory biegnące od brzegu do brzegu wyglądają na ogół jednako. Są to liczne wyspy, tamy skalne i spiętrzone bloki, które porastają palmy i krzewy. Pośród nich szumią i huczą spienione fale ogromnej rzeki. Powyż Maypures

rozwiera się znowu wolna przestrzeń długości blisko mil, aż niemal do samych źródeł Orinoka, to znaczy do raudalu guahibów, Tutaj jednak gdzie dotarliśmy, w nielicznych jeno miejscach można było dojść aż do samego koryta rzeki, oraz kąpać się we wodzie zatok wirującej powoli. W Alpach, Pirenejach, czy nawet Kordylierach słynnych z rozszarpania terenu i śladów zniszczenia nie natrafi jednak podróżny na nic podobnego. Trudno dać w słowach przybliżony choćby obraz tego chaosu. Na przestrzeni przeszło pięciu mil przecinają koryto w poprzek progi, tamy i zapory skalne. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniają wyspy, pagórzyste, pełne wyżyn i wklęsłości, mające po kilkaset metrów długości. Inne są to małe, płaskie rafy. Wyspy te dzielą rzekę na mnóstwo wąskich koryt o rwącym prądzie, wszystkie zaś porasta gęstwa palm. Przedziwnie wyglądają te palmowe gaje pośrodku wody. Woda rzuca się w czeluście i groty skalne, tak że nieraz słyszeliśmy szum wody jednocześnie nad głową i pod stopami, Orinoko przybiera

tu postać niezliczonych wodospadów drażących sobie drogę przez skały. W zdumienie wprawia ich ilość, każdy zaś niesie niewiele wody. Znikają pod ziemią, tryskają w górę, huczą i rzucają pianę. Mniejsze zapory przebywają Indianie w ten sposób, że płyną naprzód i wciągają łódź liną na grzbiet progu. Jest to

praca mozolna i często łódź napelnia się przytem wodą. Nieraz ulega  
kanoe  
strzaskaniu o skały, a wówczas skrwawieni żeglarze z trudem zmykają  
wpław na  
najbliższą wyspę. W miejscach gdzie progi są wysokie i całkiem  
zamykają koryto,  
transportuje się łodzie brzegiem, tocząc je na prymitywnych walcach z  
cienkich  
pni drzew, aż tam, gdzie rzeka znowu zaczyna być spławna.  
Dnia kwietnia dowiedzieliśmy się, że pirogę naszą przeprowadzono  
przez progi  
i że czeka na nas w puerto de ariba, czyli porcie wyższym.  
Jaguary w okolicach Atures są tak zuchwałe, że porywają po wsiach  
świnie biednym  
Indjanom. Pewien misjonarz opowiedział pewne zdarzenie,  
świadczące o łagodności  
tych z pozoru dzikich zwierząt. Kilka miesięcy przed naszym  
przybyciem pewien  
jaguar, którego uważano za młodego choć był wielki, bawił się z  
dzieckiem i  
zadrasnął je przypadkiem. Owo wyrażenie "bawił się" wygląda  
dziwnie, jednak  
miałem sam dowody czegoś podobnego. Dwoje dzieci indyjskich,  
chłopiec i  
dziewczynka, siedziało w trawie. Około drugiej po południu przybiegł  
z lasu  
jaguar i zaczął wokoło skakać jak kot. Malcy nie zdawali sobie  
sprawy z  
niebezpieczeństwa, a jaguar zbliżył się i zaczął klepać łapą chłopca po  
głowie.  
Zrazu czynił to lekko, potem jednak coraz mocniej, i krew pociekła od  
zadrażnienia pazurem. Widząc to, chwyciła dziewczynka gałąź i  
zaczęła bić  
jaguara,

który uciekł niezwłocznie do lasu. Na krzyk dzieci przybiegli starsi i

spostreegli umykającego jaguara. Sam widziałem oboje dzieci.  
Chłopak był bystry  
i wydawał się inteligentnym. Pazur jaguara zdrapał mu tylko trochę  
skóry na  
czole i głowie. Skądże się wzięła owa sympatja dla dzieci u zwierza,  
którego  
dość łatwo zresztą oswoić, który atoli na wolności jest krwiożerczy i  
okrutny?  
Możnaby wprawdzie przypuszczać, że uważał malców za swą  
zdobycz i bawił się  
nimi, jak kot ptakiem z przyciętymi skrzydłami, dlaczegóż jednak  
uciekł przed  
bijącą go dziewczynką? Jeśli zaś nie zbliżył się do dzieci pod  
przymusem głodu,  
to pocóż wogóle przybiegł? Nienawiść i sympatja zwierząt kryje dużo  
tajemnic.  
Zdarzało się, że lew rozszarpał dwa, czy trzy psy wpuszczone do  
klatki, zaś  
odrazu pieścił zaczął czwartego, który, śmielszy od tamtych chwycił  
go za  
grzywę. Wydaje się jakby słabe stworzenie, pociągało silne tem  
więcej, im  
większe mu okazuje zaufanie.

## PLAGA KOMARÓW.

Po kilku dniach pobytu w Atures, z wielką przyjemnością opuściliśmy  
tę  
miejscowość, gdzie termometr wskazuje za dnia , a w nocy stopni  
Celsjusza.  
Sam upał nie dokuczał nam tyle, ile nieznośne podrażnienie skóry,  
które  
sprawiało, żeśmy nie dowierzali instrumentowi, sądząc, iż znaczy zbyt  
niską  
ciepłotę. Za dnia kąsały nas moskity i maleńkie zjadliwe jeje, nocą zaś  
zankudy,

wielkie jadowite komary, których się boją nawet tubylcy. Ręce nam  
puchły coraz  
to bardziej, a ustało to dopiero gdyśmy

dotarli do brzegów Temi. Różnymi sposobami bronią się tu ludzie  
przeciw tym  
małym owadom. Poczciwy misjonarz Bernardo Zea, który przez  
długie lata cierpiał  
z powodu komarów, zbudował sobie obok kościoła z pni palmowych  
rusztowanie, a na  
jego szczycie chatkę, gdzie można było swobodniej oddychać i gdzie  
też suszyłem  
rośliny wieczorami i pisywałem. Misjonarz uczynił spostrzeżenie, że  
komary  
najchętniej przebywają w dolnych warstwach powietrza, do  
wysokości stóp nad  
ziemią. W Maypures nocują Indianie po wyspach, na środku rzeki,  
gdzie komary nie  
przylatują skutkiem pary przesycającej powietrze. Stwierdziłem też  
sam, że  
więcej ich przy brzegach, niż pośrodku koryta, to też znacznie mniej  
cierpi  
podróżny płynący z prądem, niż pod wodę.  
Trudno przyjdzie uwierzyć temu, kto nie żeglował po wielkich  
rzekach Ameryki  
tropikalnej, jak straszną plagą są te małe owadki, które w  
najżyźniejszych  
nieraz okolicach uniemożliwiają pobyt ludziom. Mimo nawyku do  
cierpienia i mimo  
zajęcia się obserwowanym przedmiotem, nie sposób sobie dać rady.  
Moskity,  
zankudo, jeje, oraz tempranero pokrywają ciągle twarz i ręce,  
przebijają  
żałdami-ssawkami ubranie, włożą do ust, oczu i nosa, tak że co chwila  
wybucha

się kaszlem, s pluwa nieustannie i kicha raz po raz. Rozmowy o los  
moscos to  
stała rozrywka w misjach rozrzuconych po niezmiernych lasach  
pobrzeży Orinoka.  
Ile razy spotka się dwu ludzi, pyta jeden drugiego:  
— Jakże tam było w nocy z zankudami? Czy dużo było moskitów?  
Przypomina to starodawną formułkę towarzyską Chińczyków, którzy  
pytali się  
wzajem rano:  
— Vou to hou?

To znaczy: Czy cię bardzo niepokoiły tej nocy węże... ,  
W okolicach Tuamini przekonałem się, że obok pytania indyjskiego,  
pytanie  
chińskie również byłoby na miejscu.  
Dolna warstwa powietrza aż do dwudziestu stóp przesycona jest  
wprost jadowitymi  
owadami. Patrząc pod słońce z jakiejś groty przy katarakcie widzi się  
chmurę  
komarów to gęstniejącą, to znów rzadszą na chwilę. Niema chyba na  
świecie kraju,  
gdzieby człowiek znosił straszniejsze katusze jak tu w porze  
deszczowej,  
— Jakże dobrze musi być mieszkańcom księżycy? — powiedział do  
patra Gumilli  
pewien Indjanin ze szczepu Saliva — Jest tak piękny, jasny i pewnie  
nie dolatują  
tam moskity.  
Naiwna te słowa cechują zapatrywanie dzikich Amerykanów na  
naszego satelitę.  
Jest on w ich oczach osiedlem niebian i przybytkiem wszelkiej  
obfitości. Gdy  
Eskimos, dla którego skarbem jest deska, lub pień drzewa wyrzucone  
na jałowy



brzeg, widzi na księżycu pokryte lasem równie, dostrzega na nim  
Indjanin z nad  
Orinoka, puste sawanny, wolne od moskitów.  
Dalej ku południowi zaczyna się sieć brunatno-żółtych wód, zwanych  
czarnemi,  
aguas negras. Nad brzegami Atabapo, Temi, Tuamini i Rio Negro  
zazналиśmy  
spokoju, niemal szczęścia nieoczekiwanego. Rzeki te płyną, jak  
Orinoko, przez  
gęste lasy, ale niema tu wcale komarów, ani krokodyli. Być może nie  
sprzyja  
niższa temperatura wody wylęganiu się larw komarzych, albo też jej  
skład  
chemiczny.  
Dziwne to i znane misjonarzom zjawisko, że roz-

maite odmiany komarów latają z osobna, nie mieszając się, także w  
różnych  
godzinach dnia kłują inne owady. Zazwyczaj ma się kwadrans  
spokoju przed  
"wyruszeniem w pole", jak powiadają misjonarze, nowego gatunku  
komarów. Po  
odwrocie jednej armji nie zaraz druga idzie w bój. Od pół do szóstej  
rano do  
piątej wieczór pełno w powietrzu moskitów. Na godzinę przed  
zachodem miejsce  
moskitów zajmują małe komary zwane tempraneros (które wcześniej  
wstają...  
temprano), gdyż widać je również o świcie. Latają one za ledwo  
półtorej godziny i  
znikają około siódmej, jak się tu powiada... po oddzwonieniu na Anioł  
Pański. Po  
kilkunastu minutach zaczynają kłuć zankudy, komary o długich  
nogach. Zankudo ma

w ryjku kłującą ssawkę, która wywołuje dotkliwy ból, a bąble trwają przez kilka tygodni. Brzęczą podobnie do europejskich, tylko donośniej. Indianie rozróżniają podobno po "śpiewie" zankudy od tempranerów. Te ostatnie są owadami wieczorowymi, podczas kiedy zankudy, to owady nocne, znikające o świcie. Na innym miejscu tego dzieła wspomniałem o fakcie, że biali, urodzeni w ciepłych krajach, mogą chodzić bezkarnie boso po tej samej chacie, gdzie świeżo przybyłego Europejczyka oblażą pchły piaskowe, zwane nigua. Ledwo widoczne te owady zakopują się pod paznokcie i tam składają jaja, pęczniąc do wielkości grochu. A więc nigua rozróżnia to, czego nie zdołała dotąd uczynić najskrupulatniejsza analiza chemiczna, to znaczy tkankę i krew Europejczyka i białego Kreola. Inaczej się rzecz ma z bakami. Wbrew krążącym wieściom, owady te napastują zarówno czerwonoskórych, jak i białych, tylko skutki ukłucia są różne. Jadowita ciecz nie wywołuje na-

brzmienia u Indianina, podczas gdy Europejczyk puchnie i cierpi przez kilka dni dotkliwie.

Zaobserwowałem nieraz, że czerwonoskórzy odczuwają ból równie jak biali, ale w mniejszym stopniu. W dzień, podczas wiosłowania biją się Indianie ustawicznie dłońmi po ciele, by spłoszyć owady, a to samo czynią podczas snu, w nocy, nie

bacząc, że trafiają często w leżących obok towarzyszy. Przypomina to perską  
przypowiestkę o niedźwiedziu zabijającym muchę na czole uspiętego  
pana swego. W  
Maypures widziałem jak młodzi Indjanie, siedząc przy ogniu, drapali  
się wzajem  
po plecach kawałkami suchej kory. Kobiety indyjskie wydziobywały  
cienką kostką z  
każdej ranki po ukłuciu, kroplę zakrzepie] krwi szpecącą skórę, a  
czyniły to z  
cierpliwością dla nas niepojętą. Jeden z najdzikszych szczepów nad  
Orinokiem,  
Ottomakowie, używają siatki przeciw komarom, którą tkają z włókna  
palmowego,  
Czerwonoskórzy z okolic Karakas'u zagrzebują się na sen w piasek.  
W niektórych  
wsiach nad rzeką Magdaleny namawiali nas Indjanie byśmy się kładli  
na t. zw.  
peaza grande, przy kościele na skórach wołów, które tam spędzają  
zawszad w  
wielkiej liczbie. W pobliżu trzody znajduje człowiek trochę spokoju  
od komarów.  
Indjanie nad górnym Orinokiem i pod Kasikuiare, widząc, że  
Bonpland nie może z  
powodu tej plagi suszyć roślin, zapraszali go do swych hornitos, czyli  
"pieców".  
Tak zwą oni małe schroniska bez drzwi i okien, do których włazi się  
przez mały  
otwór, pełzając na brzuchu. Potem rozpala się ognisko z wilgotnych  
gałęzi, a  
wypędziwszy dymem komary, zatyka się wejście szczelnie. Niema  
tam wprawdzie  
moskitów, ale w norze tej oświetlonej dymiącą pochodnią z żywicy  
topolowej  
panuje straszne gorąco i zaduch.

Bonpland zasuszył jednak w takich hornitach indyjskich setki  
roślin. Śmiech  
zbiera gdy się słyszy spory misjonarzy na temat wielkości i  
krwiożerczości  
moskitów różnych części rzeki. Odcięci od świata zabawiają się oni  
tem.  
— Żal mi cię, bracie — powiedział na odjeździe misjonarz z okolicy  
katarakt do  
kolegi z Kasikuiary — żal mi, że sam zostaniesz jak i ja w tym kraju  
tygrysów i  
małp. Ryb mamy znacznie mniej od was i większe tu upały, a jednak  
gdy idzie o  
moje moskity (mis moscas) to mogę się pochwalić, że mój jeden  
pokonałby twoje  
trzy z łatwością.  
Sprawa komarów drobna to rzecz dla Europejczyka, świadczy jednak  
o tem, że  
maleńkie owady posiadające odrobinę jadu w ssawce, mogą  
uniemożliwić życie  
człowiekowi na rozległych i żyznych przestrzeniach. Ogromną  
przeszkodą dla  
kultury są również w wielu okolicach podzwrotnikowych małe  
termity, czyli  
comeje. Pożerają przeraźliwie wszystko, papier, tektury, pergamin,  
niweczając całe  
archiwa i biblioteki. W licznych prowincjach hiszpańskiej Ameryki  
niema pisanego  
dokumentu, starszego nad sto lat. Cóż się ma tedy stać z kulturą  
danego kraju i  
ludu, jeśli przeszłość nie będzie złączona z chwilą bieżącą i trzeba  
ponawiać  
walki i klęski, okupując tem na nowo doświadczenie?  
W miarę zbliżania się do wyżyny Andów maleje ta plaga. Oddycha  
tam człowiek  
swobodnie świeżem powietrzem, a owady nie trapią go już dniem i  
nocą. Tam też

termity nie zagrażają archiwom. Czteryście metrów nad morzem niema już komarów, a termity dosięga sześciuset. Ale Meksyk, Santa Fe de Bogota i Kuito wolne są od owadów, Stamtąd promieniować będzie kiedyś kultura na przestrzenie ni-

zinne i lesiste, zamieszkałe dziś przez szczepy, którym właśnie obfitość odbiera energję życiową.

#### WODOSPAD MAYPURES.

Dnia kwietnia po trzygodzinnym marszu dotarliśmy przed południem do naszej łodzi, w której pater Zea umieścił nasze instrumenty i mały zapas żywności, składający się z paru wiązek bananów, manjoku i kurcząt. W dalszej drodze nie napotykalismy na przeszkody. Pod wyspą Tomo spędziliśmy noc pod gołym niebem. Było pogodnie, ale gruba warstwa, rzec można, komarów udaremniła moje prace miernicze i obserwację gwiazd, O trzeciej rano, dnia następnego ruszyliśmy dalej, by przed nocą dotrzeć do słynnej katarakty, zwanej raudal de guahibos. Stanęliśmy tam już koło piątej, ale nie było zgoła łatwym zadaniem przewyciężyć prąd wody, spadającej z ławicy gnejsowej, kilka stóp wysokiej. Jeden z naszych Indjan podpłynął do skały, przywiązał do niej linę i przy jej pomocy podciągnąwszy łódź wypróżniliśmy ją by

uczynić lżejszą. Stojąc na skale w samym środku zapory naturalnej  
ujrzeliśmy ze  
zdziwieniem spory kawał suchej ziemi i tam rozłożyliśmy się obozem,  
czekając na  
transport łodzi.  
W skale widniały krągłe wyżłobienia na dnie zawierające żwir  
kwarcowy. Musiały  
powstać przez tarcie toczących się kamieni. Ów obóz pośród katarakty  
dziwnie  
wyglądał. Nagle dostał towarzyszący nam misjonarz ataku febry.  
Chcąc ugasić  
trapiące

go pragnienie postanowiliśmy przyrządzić chłodny napój, z cukru,  
cytryn i  
grenadilli (to znaczy z owocu passiflory), które to zapasy nabyliśmy w  
Atures. W  
braku większego naczynia by mieszać poszczególne ingredjencje  
właliśmy zapomocą  
skorupy z dyni trochę wody rzecznej w jeden z otworów skalnych 1 w  
tej  
naturalnej czaszy został przyrządzony napój, którym się wszyscy  
rozkoszowali.  
Tak to potrzeba uczy wynalazków.  
Ugasiwszy pragnienie nabraliśmy ochoty do kąpieli. Zbadawszy  
szczegółowo ławicę  
dostrzegliśmy kilka małych zatok ze spokojną i czystą wodą i  
niebawem użyliśmy  
przepysznej kąpieli, nie bacząc na huk wody i krzyki naszych Indjan.  
Podaję ten  
szczegół, gdyż charakteryzuje nasz sposób podróżowania i uczy, że w  
każdych  
warunkach można sobie poradzić.  
Po godzinie została nasza piroga przeciągnięta, wyładowana i  
coprędzej

opuściliśmy raudal. Podróż dalsza niecałkiem było bezpieczna.  
Musieliśmy  
przeciąć wskos rzekę półtora kilometra szeroką i rwącą w tym miejscu  
poza  
zaporą, W dodatku rozszalała się burza, na szczęście bez wielkiego  
wiatru, tak  
żeśmy tylko przemokli całkiem. Burze tropikalne bywają krótkie, lecz  
gwałtowne.  
I tym razem dwa pioruny uderzyły w wodę tuż przy nas. Wiosłowano  
już dość długo,  
a sternik wyraził zapatrywanie, że miast oddalać się od raudalu  
jesteśmy coraz  
to bliżej. Indianie zafrasowali się, zaczęli mówić z cicha, jak zawsze  
w  
wątpliwej sytuacji, ale wyteżyli wszystkie siły, tak że z nastaniem  
nocy  
dotarliśmy bez wypadku do portu w Maypures.  
Noc była bardzo ciemna. Przemokli zupełnie mieliśmy iść jeszcze  
dwie godziny.  
Wraz z ustaniem deszczu, rzuciły się na nas ze zdwojoną wściekłością  
zja-

dliwe zankudy, jak to czynią zawsze po burzy. Towarzysze nasi  
rozważali, czy nie  
lepiej przenocować w porcie pod gołym niebem, Ale pater Zea, który  
był  
misjonarzem w obu raudalach, miał tu nieskończony jeszcze,  
dwupiętrowy dom i  
chciał tam koniecznie dotrzeć. Zareczył naiwnie, że będzie nam tam  
równie  
wygodnie, jak na polu, gdyż nie posiada stołu, ni ławki, natomiast w  
misji  
komary nie będą chyba tak bezczelne, jak nad rzeką. Usłuchaliśmy tej  
rady i

zapalono pochodnie z żywicy kopalowej, to znaczy rury z korzeni roślin  
wypełnione żywicą. Droga wiodła przez gładkie, śliskie ławice, potem  
zaś przez  
las palmowy. Dwa razy trzeba było przechodzić po pniach przez  
potok. Pochodnie  
pogasły. Były one dziwnie zrobione, gdyż drewniany knot otaczał  
materiał palny,  
a więcej dawały dymu, niż światła i łatwo gasły. Towarzysz nasz don  
Nikolas  
Sotto stracił równowagę na krągłym pniu i spadł w bagnisko. Zrazu  
przestraszyło  
nas to, gdyż nie wiedzieliśmy z jak wysoka zleciał i gdzie wpadł, ale  
okazało  
się, że wyszedł cało, Indianin sternik mówiący dość dobrze po  
hiszpańsku  
opowiadał na drodze, że możemy natrafić na wydry, węże morskie i  
jaguary. Jest  
to urzędowa nieledwie rozmowa Indianina, który chce nastraszyć  
Europejczyka, by  
się stać potrzebniejszym i pozyskać zaufanie.  
W nocy przybyliśmy do misji San Jose de Maypures i pustka tej  
miejsowości tem  
silniej nas uderzyła. Indianie spali, krzyczały ptaki nocne i huczała  
woda  
katarakty. Wodospad dudniejący monotoniem w nocnej ciszy  
przygnębia bardziej  
jeszcze niż za dnia. Trzy dni spędziliśmy w małej wiosce, bardziej  
jeszcze  
malowniczo położonej, niż Atures.  
Katarakta w Maypures składa się podobnie jak in-

ne z archipelagu wysepek, na przestrzeni sześciu kilometrów  
zatykających koryto



Orinoka, oraz z progów skalnych pomiędzy temi wysepkami. Chcąc ogarnąć całość obrazu, trzeba stanąć na wzgórzu Manimi, ścianie granitowej, sterczącej po północnej stronie kościoła misyjnego, wprost z nagiej sawanny. Często bywaliśmy na tem wzgórzu, podziwiając widok zaiste wielkiej piękności. Przed oczyma leżała przestrzeń milowa pokryta pianą, z której sterczały czarne masy skał. Niektóre skupione, krągłe, podobne były byzaltowym górom, inne przypominały wieże, zamki i ruiny. Ponuro kreśliły się na srebrzystej pianie wodnej. Każdą skałę, czy grupę obrastały grupy drzew, wznosząc korony ponad opar mgły, wzwyż z nad wody. Z każdą godziną dnia zmieniał się obraz tej wielkiej pienistej przestrzeni, palmy i skały rzucały na nią cienie, a promienie słońca padały snopami tworząc barwne łuki tęczowe, które znikwały i jawiły się na nowo. Widoku tego, jaki oglądałem ze wzgórza Manimi nie zatarł mi czas, ni pełne grozy krajobrazy Kordylierów, ni również uroczę doliny Meksyku. Czytając opisy okolic podzwrotnikowych, gdzie przeważa płynąca woda i bujna roślinność, wspominam ten rozłóg piany i czuby palm z niego widne. Pogoda nie sprzyjała obserwacjom astronomicznym, mimo to jednak dnia kwietnia uzyskałem szereg pomiarów wysokości słońca, wedle których chronometr oznaczył położenie misji w Maypures na stopni, minut, sekund długości geograficznej. Szerokość stwierdziłem podług obserwacji jednej z gwiazd, w stronie północnej, oznaczając ją na stopni, minut i sekund. Najnowsze

mapy są niedokładne o pół stopnia długości i ćwierć szerokości.

Nie sposób nawet spisać jak uciążliwe były te nocne obserwacje.  
Nigdzie chmura  
moskitów nie była chyba jeszcze tak gęsta. Wysokości paru stóp nad  
ziemią  
tworzyła swoistą warstwę. Mieszkańcy wsi nocują przeważnie na  
wyspach, pośród  
katarakty, gdzie mniej owadów, albo rozniecają ognisko i wieszają  
maty w dymie.  
Termometr wskazywał w nocy do stopni.  
Dnia kwietnia, po dwu i pół dniowym pobycie w Maypures, przy  
katarakcie  
wsiedliśmy z powrotem w naszą pirogę, Nadwyreżyło ją dobrze  
transportowanie  
przez skały i przygody podróży, teraz zaś miała przed sobą drogę  
łądem po piasku  
i kamieniach z Rio Tuamini do Rio Negro, przez wąski przylądek,  
stamtąd przez  
Kasikuiare znowu do Orinoko i przez obie katarakty. Zbadano dno i  
boki pirogi i  
uznano, że wytrzyma doskonale tę daleką drogą.

## NA CZARNYCH WODACH.

Za kataraktami napotyka podróżny inny zgoła świat, jakby minąwszy  
granice  
naturalną pomiędzy rodzajnym terenem nadbrzeżnym, a dziczą  
wnętrza nieznanego  
kraju.  
Dwudziestego drugiego kwietnia, półtorej godziny przed świtaniem,  
wyruszyliśmy w  
drogę o poranku wilgotnym, ale pogodnym, przy zupełnym  
bezwietrzu, jak to bywa

stale na południe od Atures i Maypures. Nad Rio Negro, Kasikuiare u stóp Kerro Duida i w misji Santa Barbara nie słyszeliśmy nigdy szumu liści tak ponętnego w gorących krajach. Przyczyną tego zjawiska może być kręty bieg rzeki, słoniące ją góry,

nieprzeniknione lasy i ciągły deszcz w tych okolicach. Dotarłszy do Rio Zama wstąpiliśmy na system rzeczny, wielce ciekawy. Zama, Matoveni, Atabapo, Tuamini, Temi i Rio Negro mają wodę czarną (aquas negras), to znaczy w wielkiej masie z oddali brunatną, albo czerniawo zieloną. Mimo to jest to woda najczystsza i najsmaczniejsza pod słońcem. Wspomniałem już, że unikają jej moskity i krokodyle. W lekkim powiewie wiatru i słońcu wyglądają trawiasto jak jeziora szwajcarskie, zaś w cieniu jest Zama, Atabapo i Rio Negro istotnie czarne jak osad kawy. Indianie dzielą też wszędzie wody na białe i czarne. Dnia kwietnia opuściliśmy ujście Zamy o trzeciej rano. Oba brzegi porastał gęsty las, a góry po stronie wschodniej zdawały się uciekać przed nami. Przepłynęliśmy obok ujścia Rio Mataveni, a potem koło wyspy dziwnych kształtów. Sterczy z wody jak prostokątna skrzynia granitowa i zwie się el kastillito. Dwudziestego czwartego kwietnia wyruszyliśmy bardzo wczesnym rankiem zmuszeni do tego przez deszcz i zostawiając kilka książek, których nie było można po nocy

znaleźć na skale Aricagua. Rzeka płynęła dokładnie z południa na północ, brzegi są niskie i lesiste. Ciemną nocą wpłynęliśmy w ujście Guaviary i po północy byliśmy w misji. Jak zawsze zamieszkaliśmy w klasztorze, to znaczy w domu misyjnym, gdzie nas przyjęto z wielkim zdziwieniem i niemniejszą gościnnością. W ciągu nocy opuściliśmy niemal niepostrzeżenie wody Orinoka i o wschodzie słońca ujrzeliśmy się w innym kraju u brzegu rzeki nieznaney nawet prawie z nazwy, która nas miała przez Pimichin zanieść

na wody Rio Negro, do granicy Brazylii. W krainie tej, gdzie od czasu wytyczania granic nie powstał żaden przyrząd astronomiczny, oznaczyłem przy pomocy chronometru i obserwacji gwiazd, położenie geograficzne miejscowości San Baltazar nad Atabapo, Javity, San Karlos nad Rio Negro, skały Kulimokari i misji Esmeralda. Mapa moja usunęła tedy wątpliwości odnośnie do położenia mnóstwa osad chrześcijańskich. Położenie jakiegoś punktu na ziemi odczytywać trzeba z nieba, tam gdzie jedyną drogę stanowią kręte rzeki, w gęstych lasach tkwią małe wioski, oraz gdzie niema wcale gór, ani wysokich przedmiotów widzialnych z dwu miejsc. Właśnie w najdzikszych okolicach gorących krajów czuje się potrzebę obserwacji astronomicznych i to nietylko dla poprawienia map, ale pomiaru terenu.

Dwudziestego szóstego kwietnia, po przebyciu kilku zaledwo mil  
zanocowaliśmy na  
skale, w pobliżu indyjskich plantacji Guapasoso. Brzegów nie widać  
podczas  
wysokiego stanu wody i rzeka łączy się z lasami, to też lądować  
można jeno na  
skale, albo płycie kamiennej sterczącej nad powierzchnią. Niema  
krokodyli we  
właściwym korycie Atabapo, powyż San Fernando, ani też krów  
wodnych, są  
natomiast delfiny słodkowodne. Daremnieby też szukać świni wodnej,  
wielkiego  
wyjca, zamura, oraz bażanta z kapturem, zwanego guacharaca.  
Ogromne żmija wodne,  
z wyglądu przypominające boę żyją tu niestety w wielkich ilościach i  
zagrożają  
kapiącym się Indjanom, Pierwszych zaraz dni widywaliśmy obok  
naszej pirogi  
egzemplarze, do czternastu stóp dochodzące. Jaguary wybrzeży  
Atabapo są duże i  
tłuste, ale podobno nie tak zuchwałe, jak nad Orinokiem.  
Dnia kwietnia mieliśmy noc pogodną, czarne

chmury przelatowały czasem jeno w wielkiej wysokości. W niższych  
warstwach  
powietrza panowała cisza, a wiatr wschodni wiał dopiero w wysokości  
dwu tysięcy  
metrów. Przed świtem spadł deszcz. Nawykliśmy do lasów rojących  
się od zwierząt,  
jak na Orinoku, dziwiliśmy się, nie słysząc wycia małp. Wokoło łodzi  
igrały  
delfiny, czyli tarniny.  
Dnia kwietnia, po przebyciu pięciu mil Atabapem, miast dążyć do  
jego źródeł,

gdzie nosi nazwę Atakari, zboczyliśmy w stronę ujścia Rio Temi.  
Przed  
wplynięciem w nie ujrzeliśmy u ujścia Guasakari na zachodnim  
brzegu blok  
granitowy, zwany: Indjanką Guahiba, czyli skałą matki, piedra de la  
madre.  
Ojciec Zea nie umiał wyjaśnić tych nazw, ale w parę tygodni później  
dowiedziałem  
się wszystkiego od innego misjonarza, Notuję tu tę historję z  
bolesnem uczuciem  
niższości moralnej ludzi białych w porównaniu z cnotą dzikich Indjan.  
Pewien misjonarz z San Fernando, poprzednik zakonnika, któregośmy  
tam zastali,  
wyruszył ze swymi Indjanami nad Guaviare na wyprawę rozbójniczą  
zabronioną przez  
religję jak i prawo hiszpańskie. W jednej z chat zaskoczyli matkę oraz  
troje  
dzieci, ze szczepu Guahibów. Ojciec wyruszył na połów, to też matka,  
nie myśląc  
o obronie rzuciła się do ucieczki. Ścigali ją Indjanie z misji zaprawieni  
do  
polowania na ludzi podobnie jak biali polują na murzynów w Afryce.  
Niebawem  
została dopędzona w sawannie, związana i wraz z dziećmi  
przywleczona nad rzekę,  
gdzie siedział w łodzi zakonnik czekając wyniku pogoni. Gdyby się  
była matka  
bronila energiczniej, zostałaby zabita, gdyż wszystko jest dozwolone  
na takiej  
wyprawie kościelnej (conquista espiritual) podczas której łapie się  
przedewszystkiem

dzieci, które potem wychowywane w misji stanowią t. zw. poitos,  
czyli

niewolników chrześcijańskich. Zabrano wszystkich do San Fernando, ponieważ jednak matka kilka razy próbowała uciekać wraz z dziećmi, postanowiono jej dzieci odebrać. Związano ją, wsadzono w łódź i wywieziono na Atabapos. Zrazu sądziła, że wraca do rodzinnej wioski, ale spostrzegłszy, że ją wiozą gdzieś w dal, rozluźniła więzy, skoczyła we wodę, a prąd zaniósł ją na skałę noszącą jej imię. Ale została złapana, oćwiczona na skałę rzemieniem ze skóry krowy wodnej, potem zaś zabrano ją z powrotem do misji w Javita. Zamknięto ją w więzieniu, zwanem casa del tey. Był to czas deszczów i noc ciemna. Lasy nieprzebyte rozciągały się na mil szerokim pasem pomiędzy Javitą a San Fernando. Nikt się tamtędy iść nigdy nie ważył, a z wioski do wioski jeżdżono tylko wodą. Ale matka wiedziała, że dzieci jej są w San Fernando, a cóż jest zbyt trudnem dla matki. Poszła tedy oswobodzić je i przywieść do ojca nad Guaviare. Indianie ulitowali się nad nieszczęśliwą, która miała okrwawione ręce i rozluźnili jej pęta. Uwolniła się do reszty przy pomocy zębów i uciekła nocą. Po czterech dniach stanęła w San Fernando, pod chatą, gdzie zamknięto dzieci. Misjonarz, który mi to opowiadał, nie mógł wyjść z podziwu. To, czego dokonała ta kobieta, przekraczało siły silnego mężczyzny. Szła przez zalane wodą lasy, w czerni, bez słońca, a jadła wielkie mrówki zwane vachacos, które zawieszają na drzewach żywiczne gniazda swoje. Spytałem, czy wkońcu dano spokój tej kobiecie,

ale misjonarz nie chciał zaspokoić mej ciekawości, W drodze  
powrotnej  
dowiedziałem się jednak, że jej ponownie odebrano dzieci

i zamknięto w misji nad górnym Orinokiem, gdzie się zagłodziła, jak  
to czynią  
indjanie z wielkiego żalu. Taka to historia związana jest ze skałą  
zwaną, piedra  
de la madre.

Chciałem dać jeno obraz miłości macierzyńskiej, oraz okrucieństwa  
niektórych

ludzi białych wyposażonych w zbyt wielką władzę nad ciemnym  
krajowcem. Opowieść

tę zamieściłem tu także w tym celu,

by zwrócić na zło uwagę rządu hiszpańskiego. Powyż ujścia

Guasakari, wpłynęliśmy

w rzekę Temi, która płynie z południa na północ. Szerokość Temi  
dosięga zaledwo

metrów, ale w innym jak Guajana kraju uważanoby ją za znaczną  
rzekę.

Krajobraz był wszędzie płaski i lesisty. Piękne palmy pirijao o  
owocach na

kształt brzoskwiń i palmy maurita o kolczastych pniach sterczały  
ponad niską

krzewiną, której nadmiar wody wyrość nie dał.

Na każdej pętli rzeki las stał wielkimi partjami w wodzie. Celem  
omijania

zakrętów Indjanie wpływali w las i przesuwali się tak zwanymi  
sersdas, czyli

kanałami kilka stopowej szerokości, które zastępują ścieżki leśne na  
suchym

gruncie. Są one wyjeżdżone od misji do misji, ale bujna roślinność  
często tamuje

ruch. Dlatego też jeden z Indjan stał ciągle na dziobie łodzi i ścinał



krzyżujące się gałęzie nożem zwanym macbetta, o ostrzu długim na  
czternaście  
cali. Po gęstwinach słyszeliśmy dziwny hałas i wypłoszyliśmy z nich  
stado  
wielkich toninów, to znaczy delfinów słodkowodnych które jeły  
krążyć wokoło  
statku. Skryte były pod gałęzmi drzewa kawowego. Teraz rozprószyły  
się w  
wszystkich kierunkach, rzucając strumienie wody. Ryby te mają  
rozliczne nazwy,  
wzięte z tej właśnie zdolności wyrzucania wody i dziwi bardzo widok  
tych  
stworzeń, właściwie mor-

skich, w głębi łądu, o czterysta mil od ujścia Orinoka i Amazonki.  
Około piątej zawróciliśmy, nie bez trudu we właściwe koryto rzeki.  
Piroga nasza  
utknęła na chwilę pośród dwu pni. Zaledwośmy ją uwolnili, sternik  
wjechał na  
ścieżkę wodną mało uczęszczaną, a las otoczył nas tak gęsty, że nie  
można się  
było kierować wedle słońca, ani wedle gwiazd.  
Dnia maja postanowili Indjanie nasi wyruszyć zaraz o świcie.  
Wstałem przed  
nimi, by jeszcze zastać na niebie gwiazdę przechodzącą przez  
południk, ale nie  
mogłem dokonać pomiaru, W miarę zbliżania się do Rio Negro, coraz  
ciemniejsze  
były noce w tym wilgotnym, lesistym kraju. Aż do świtu musieliśmy  
czekać w  
korycie rzeki z obawy zabłądzenia pośród drzew. Gdy słońce weszło  
ruszyliśmy  
dalej zielonym lasem, gdyż trudno było walczyć z silnym prądem. W  
ten sposób  
dopłynęliśmy do miejsca, gdzie Temi łączy się z mniejszą rzeczką  
Tuamini, także

mającą czarną wodę i popłynęliśmy dalej tą ostatnią na południowy zachód.

Doprowadziła nas ona do misji w Javita. Tutaj, w tej chrześcijańskiej osadzie

miano nam dostarczyć środków przetransportowania naszej pirogi łądem, aż do Rio

Negro. Do samego San Antonio de Javita przybyliśmy około jedenastej przed południem.

Ku wielkiej radości spotkaliśmy w Javicie zakonnika bardzo rozsądnego i

życzliwego. Spędziliśmy u niego pięć dni, gdyż tak długo trwał transport naszej

pirogi i nie tylko rozejrzeliśmy się dokładnie po okolicy, ale uwolniliśmy się od

trapiącego nas już przez dwa dni swędzenia w stawach palców i wierzchu dłoni,

Misjonarz powiedział, że wywołują to t. zw. aradores (oracze), które się wżgryzły w skórę.

Pod lupą widać było w istocie białawe, równoległe pasy podobne do skib, od

których owad wziął swą nazwę. Wezwano mulatkę, będącą lekarzem miejscowym, która

miała rzekomo znać dokładnie te owady i przyrzekła nas uzdrowić.

Rozgrzała nad

lampą cienki odłamek twardego drzewa i zaczęła nim dłużyć w rękach naszych. Po

długim szukaniu oświadczyła z powagą właściwą kolorowym obywatelom świata, że

znalazła aradora. Ujrzałem coś krągłego, co przypominało jaje mola.

Mulotka

zapowiedziała, że wyskrobie wszystkie owady, ale wobec tego, że operacja trwała

długo w noc, a rezultat był słaby, podziękowałem. Nazajutrz wyleczył nas dziwnie szybko pewien Indjanin. Przyniósł gałąź krzewu uzao, o skórzastych, lśniących liściach i namoczył ją we wodzie. Powstała ciecz niebieska, silnie pieniąca się i po umyciu w niej rąk swędzenie aradorów ustało. Nie mogłem uzyskać ani kwiatu, ani owocu uzao. Ból wycierpiany nabawił nas takiego strachu, że odtąd zawsze mieliśmy w pirodze gałęzie tej rośliny, która rośnie obficie nad Pimichinem. Niewiadomo czemu nie odkryto podobnego środka przeciw ukłuciom zankudów i mikroskopijnych akarid. Klimat Javity jest nader dżdżysty. Po przekroczeniu trzeciego stopnia równika rzadko miewa się sposobność obserwować słońce i gwiazdy. Deszcz pada przez cały niemal rok, a niebo ciągle okrywają chmury. Misjonarz zaręczał nam, że deszcz nie ustaje tutaj często przez kilka miesięcy. Zmierzywszy deszcz jaki spadł maja w ciągu pięciu godzin otrzymałem milimetrów, zaś dnia maja w ciągu trzech godzin otrzymałem milimetry. Pomiary robiłem przytem nie podczas ulewy, ale wśród deszczu

normalnego. Jak wiadomo opad paryski, nawet w najwilgotniejszych miesiącach, jak marcu, lipcu i wrześniu wynosi za cały miesiąc tylko , do milimetrów.

Hygrometr stał ciągle w cieniu na , do stopniu, przyczem podkreślam, że

obserwacji dokonywałem gdy deszcz ustawał na chwilę. Wilgotność wzrosła tedy licząc od wielkich katarakt bardzo znacznie i w tym lesistym, zalanym równikowymi deszczami kraju wynosiła tyle niemal co na morzu. W lasach, pomiędzy Javitą a Kano Pimichin rośnie dużo gatunków ogromnych drzew, stu do stu dziesięciu stóp wysokości. Ponieważ konary tworzą koronę dopiero na wierzchołku, przeto niemało kosztowało trudu dostać liście i kwiaty. Liście leżały zresztą na ziemi, ponieważ atoli w lasach tych rośnie dużo gatunków razem, a każde drzewo pokrywają ljanya, nie mogliśmy poprzestawać na zapewnieniach Indjan, że dany liść, lub owoc pochodzi z tego a tego drzewa. Wobec mnogości tych skarbów przyrody, botanika sprawiała nam dużo więcej utrapienia, niżli uciechy. To cośmy pozyskali, wydawało się niczem wobec rzeczy nieosiągalnych. Ustawiczny deszcz niweczył też ciągle Bonplandowi egzemplarze sztucznie suszonych roślin, Indjanie żuli naprzód dane drzewo, zanim wymieniali jego nazwę. Umieeli lepiej rozróżniać liście od kwiatów i owoców. Nie troszczyli się o to, gdyż szło im wyłącznie o pnie na pirogi i twierdzili, że "te wszystkie drzewa nie kwitną, ani nie owocują". Przeczyli temu, czego im się zbadać nie chciało, nudziły ich nasze pytania, a nas złościły ich odpowiedzi. Codziennie szliśmy do lasu, by zbadać, czy pirogę naszą zawleczono na oznaczone miejsce. Pracowa-

ło nad tem Indjan, a statek toczono na pniach służących za walce.

Zwyczajną

pirogę transportuje się z Tuamini do Kano Pimichinu, która wpada do Rio Negro w

ciągu półtora dnia, nasza była atoli bardzo duża i trzeba się z nią było obchodzić oględnie, gdyż musiała odbyć powtórny podróż przez katarakty. To też

transport trwał przeszło cztery dni.

Czas płynął, a piroga nasza jeszcze nie była w porcie Rio Pimichinu.

Zacny

misjonarz pater Cereso zachęcał nas do dłuższego pobytu, mówiąc: —

Wszakże wam

tu nie brak niczego! Macie banany, ryby, nie kąsają was moskity, a im dłużej

zostaniecie, tem więcej mieć będziecie nadziei doczekania się słońca i gwiazd.

Zepsuje się wam piroga, przy transportowaniu, to dam wam inną.

Jestem bardzo

rad, że mogę rozmawiać z ludźmi białymi i rozumnymi (con gente blanca y de

razon). Mimo niecierpliwości słuchaliśmy z zaciekawieniem jego opowiadań o

obyczajach, zwyczajach i stosunkach mieszkańców tych okolic, które zresztą

potwierdzały poprzednio już zebrane wiadomości nasze. Tubyłcy żyją w hordach po

do osobników pod władzą patryarchalną, a wspólnego wodza obierają jeno w

czasie walki z sąsiadami. Wzajemną zaczepność zwiększa jeszcze to, że

sąsiadujące ze sobą hordy mówią odmiennym językiem.

Olbrzymi obszar ziemi pomiędzy równikiem, a ósmym stopniem szerokości stanowi

jeden las. Hordy rozproszyły się po nim, posuwając się w głąb Wraz z zakrętami

rzeki, nie mając warunków uprawiania ziemi. Labirynt rzeczny sprawił, że żadna

nie wiedziała z kim sąsiaduje. Dzikie te okolice Ameryki przywodzą na myśl pierwotny stan ludzkości, kiedy zaczynała się rozprzestrzeniać po ziemi.

Niema tu powolnej przemiany koczownictwa i myśliwstwa w wyższe formy organizacji społecznej. W strefie umiarkowanej, nad Missouri i na wyżynie Meksyku jest Amerykanin strzelcem, w gorących okolicach lesistej Guajany sadi on wprawdzie manjok, banany i kukurudzę, ale ziemia jest tak rodzajna, iż mały wysiłek pracy nie przywiązuje go do niej. Szczepy tutejsze zmieniają często miejsce pobytu wzdłuż tej samej rzeki. Mieszkaniec pobrzeży Orinoka zabiera trochę ziarna na zasiew i wędrując zakłada swe krótkotrwałe plantacje, czyli conuco, jak Arab, który przenosi namiot i zmienia pastwisko. Mnóstwo zdiczałych roślin uprawnych, znajduwane po lasach, świadczy, iż żyje tu lud rolniczy wprawdzie, ale obyczajnie posiada koczownicze. Oczywiście mowy niema o stałych osiedlach, uprawie zboża na większą skalę i większym obszarze, wymagającym wydatniejszej pracy. Dnia maja ruszyliśmy do naszej pirogi, która nareszcie dotarła do Kano Pimichin. Musieliśmy brnąć przez liczne strumienie pełne żmij wodnych, co wymagało pewnej ostrożności. W lasach Pimichinu drzewa dosięgają również stu dwudziestu stóp wysokości. Zdumiewająca obfitość roślin i różnorodność gatunków

rosnących razem jest skutkiem wielkiej rodzajności gleby i nadmiaru wilgoci, tak

że soki krążą z żywością nie napotykaną chyba nigdzie indziej na świecie.

Przenocowaliśmy w świeżo opuszczonej chacie, w której beztroska rodzina indyjska

zostawiła nawet przybory rybackie, garnki i maty plecione z łyka palmowego i

powędrowała kędyś dalej.

Błotniste okolice Javity i Pimichinu są ojczyzną niezliczonych żmij.

Przed

objęciem opuszczonej cha-

ty zabili Indianie dwa wielkie węże zwane mapanare, jadowite gady o rudawo

czerwonym grzbiecie i białym brzuchu. W chacie zastaliśmy dużo różnych ziół,

spaliśmy na nich, gdyż nie można było umocować hamaków, to też mieliśmy trochę

strachu. I rzeczywiście znalazła się rano żmija pod skórą jaguara, na której

spął jeden z naszych ludzi. Indianie twierdzą, że gady te, o ile się ich nie

drażni, są powolne w ruchach i podchodzą do ludzi, gdyż lubią ciepło ciała. Nad

rzeką Magdaleny wpłynął istotnie wielki wąż do łóża jednego z naszych towarzyszy

podróży i przespał się wraz z nim, nie czyniąc mu nic złego.

Dnia szóstego maja odbiliśmy od brzegu o świcie, zbadawszy poprzód dno i boki

pirogi. Stały się one skutkiem tarcia cieńsze, ale nie popękały.

Uznaliśmy tedy,

że statek wytrzyma podróż trzystu milową, z biegiem Rio Negro, pod prąd

Kasikuiare i znowu z biegiem Orinoka, aż do Angostury, Pimichin, zwany tu cano, czyli potok, ma szerokość Sekwany pod Tuillerjami, ale rosnące w jego korycie drzewa zacieśniają je nieraz do trzydziestu i czterdziestu metrów. Takich wysp drzewnych jest osiemdziesiąt pięć, skutkiem czego podróż trwa dość długo. Przez pięć i pół godzin płynęliśmy wzdłuż zakrętów wąskiej smugi wody, a potem, nareszcie dostaliśmy się na Rio Negro. Odetchnąłem z ulgą przebywszy tę rozległą sieć wód, gdyż teraz bliższą mi stała się nadzieja dopięcia głównego celu podróży, to jest astronomicznego wyznaczenia tego ramienia Orinoka, które wpada do Rio Negro, a którego istnienie raz po raz podawane było w wątpliwość i to w ciągu całych lat pięćdziesięciu. Przez cały czas podróży wzdłuż lesistych, po-

zbawionych historii brzegów Kasikuiare marzyłem o tem, jak o słynnym Eufracie i Oksusie. Pośród tak bujnej przyrody człowiek traci tutaj swe znaczenie. Nic nie przeszkadza rozwojowi roślinności. Gruba warstwa próchnicy świadczy o długiej działalności organicznej. Panami rzeki są krokodyle i lwy, po lasach krążą bez obawy jaguary, pekari, tapiry i małpy. Jest to ich dziedzictwo. Rola człowieka spada do zera niemal, co przygnębia i wywołuje wrażenie, że się znajdujemy wśród jakiegoś zgoła innego świata, który nas nie wydał.



Minąwszy ujście Konorichite i misję Davipe, dotarliśmy o zachodzie do wyspy Dapa, nader malowniczo pośród rzeki położonej. Napotkaliśmy też ze zdziwieniem trochę uprawnego pola i chatę indyjską na wzgórzu. Czterej dzicy siedzieli u ogniska, zajadając jakieś ciasto czarno upstrzone, co pobudziło naszą ciekawość. Czarne centki były to wielkie mrówki, zwane vachacos, ciasto zaś, wysuszone nad ogniem, usmolone było w dymie. Obok ogniska wisiało kilka worków. W chacie spało około czternastu ludzi na matach, jeden nad drugim, wszyscy zaś byli nadzy. Nie zwracali wcale na nas uwagi, gdy jednak ukazał się pater Zea, przyjęło go z oznakami wielkiej radości. Dwie młode kobiety wstały z mat, by nam przyrzadzić kasawę (pieczywo z manjoku). Spyaliśmy przez tłumacza, czy ziemia jest tu rodzajna i powiedziano nam, że manjok się nie udaje, natomiast jest to błogosławiony kraj smakowitych mrówek, Vachacos stanowią istotnie pożywienie Indjan z nad Rio Negro. Gdy kasawa była gotowa, kazał pater Zea, któremu febra nie odebrała apetytu, przynieść wędzone vachacos, zmieszał owady z ciastem i skłonił nas do pokosztowania. Miały smak zjełczałego ma-

sła. Manjok nie był kwaśny, ale nie mogliśmy przyznać zakonnikowi, jakoby nam smakował ten, zdaniem jego, "wyśmienity pasztet mrówczy". Ulewa zmusiła nas do noclegu w przepelnionej chacie. Indjanie spali tylko od

ósmej do drugiej, potem zaś zaczęli rozmawiać ze sobą, przyrządzać gorzki napój, zwany cupana, podsycać ogień i żalić się na zimno, mimo że termometr wskazywał stopni Celsjusza

W San Karlos zamieszkaliśmy u komendanta fortu, porucznika milicji. Z galerji domu był piękny widok na trzy długie wyspy gęsto zalesione. Rzeka płynie tu prostą linią z północy na południe, jakby sztucznie wykopanym korytem. Ciągłe zachmurzone niebo nadaje krajobrazowi charakter poważny, a nawet nieco posepny.

We wsi napotkaliśmy dwa piękne drzewa juwji, która daje trójkątné orzechy, zwane w Europie amerykańskimi, lub " z nad Amazonki", Nosi ona nazwę Bertholetia excelsa, a w ciągu lat ośmiu dorasta trzydziestu stóp wysokości. Siła zbrojna wynosiła tu, na granicy, ludzi, a skutkiem wilgotnego powietrza, ani cztery karabiny nie były gotowe do strzału. Szaniec, czyli, jak go tu zowią, Castillo de San Felipe, położony jest naprzeciwko San Karlos na zachodnim brzegu Rio Negro. Jest to czworokątna warownia z ledwo widocznym rowem fortecznym. Posiada wszystkiego razem czternaście armat, bez lawet, pilnowanych przez dwu ludzi. Wokoło stoją trzy czy cztery chaty indyjskie. Nazywa się to wieś San Felipe, a w celu przekonania rządu madryckiego o rozkwicie chrześcijańskich osiadłości rzekoma wieś owa posiada swą osobną księgę metrykalną.

Wieczór po oddzwonieniu na Anioł Pański złożono komendantowi raport i za-

meldowano poważnie, że około fortecy panuje spokój.  
Ponieważ podróż od ujścia Rio Negro do Gran-Para trwa około dni,  
przeto  
mogliśmy jechać Amazonką aż do granicy Brazylii, zamiast wracać  
przez Kasikuiare  
i Orinoko na północny brzeg Karakasu. Ale powiedziano nam w San  
Karlos, że ze  
względów politycznych trudno nam będzie dostać się z posiadłości  
hiszpańskiej na  
terytorjum portugalskie. Po powrocie do Europy pojęliśmy dopiero  
całe  
niebezpieczeństwo takiego kierunku podróży. Życzliwe dzienniki  
rozgłosiły w  
Brazylii, że ja zwiedzę misje nad Rio Negro i zbadam kanał naturalny,  
łączący  
oba wielkie zlewiska wód. W tem pustkowiu nie widziano  
instrumentów mierniczych  
w niczyich rękach, jak tylko komisji granicznej, a zacni niżsi  
urzędnicy rządu  
portugalskiego nie mieli dotąd pojęcia, (podobnie jak ów misjonarz,  
wspomniany w  
poprzednim rozdziale) "by ktoś mógł podejmować długą, uciążliwą  
podróż w celu  
mierzenia ziemi, która nie jest jego własnością". Wydano tedy rozkaz  
przechwycenia mnie, wraz z instrumentami, a szło zwłaszcza o  
wykazy obserwacji  
astronomicznych, które mogły narazić państwo na wielkie straty.  
Schwytanoby nas  
przeto, zawieziono po Amazonce do Gran-Para, a potem odesłano do  
Lisbony.  
Spędziliśmy w San Karlos del Rio Negro trzy noce. Liczę noce, nie  
dni, gdyż  
czekałem przejścia przez południk którejś z gwiazd i nie zmrużyłem  
oka. Ale nie  
powiodło mi się nawet oznaczyć szerokości, chociaż instrumenty były  
gotowe

każdej chwili do użytku. Cóż za różnica pomiędzy dwoma strefami tej samej krainy! Niebo Kumany ciągle pogodne, jak w Persji, czy Arabji i horyzont Rio Negro, przysło-

nięty wiecznymi chmurami jak na wyspach Far-oeer bez słońca i gwiazd! Opuściłem szaniec San Karlos z tem większym smutkiem, że nie miałem nadziei, by gdzieś w pobliżu dało się oznaczyć szerokość geograficzną.

#### NA KASIKUIARE.

Dnia maja ruszyliśmy przed świtem w górę Rio Negro, do ujścia Kasikuiare, wyładowawszy nocą pirogę nanowo. Zadaniem mojem było stwierdzenie istotnego biegu tej właśnie rzeki, która łączy ze sobą Orinoko i Amazonkę. Od lat pięćdziesięciu wiedziano o tym naturalnym kanale pomiędzy dwoma, potężnymi zlewiskami, mnie atoli przypadło zadanie stwierdzenia definitywnego i wyznaczenia geograficznego położenia. Głównie szło o punkt wpływu do Rio Negro i punkt rozwidlenia Orinoka. Gdybyśmy nie ujrzeni słońca, ni gwiazd, oznaczenie to byłoby niemożliwe, a przeto daremną całą długą, uciążliwą podróż. Towarzysze nasi chcieli wracać najkrótszą drogą przez Pimichin i małe rzeczki, ja jednak i Bonpland uparliśmy się stanowczo przy pierwotnym planie, naszkicowanym podczas

podróży przez wielką kataraktę. Za hańbę uznalibyśmy gdyby nam odebrać miało otuchę pochmurne niebo, lub strach przed moskitami na Kasikuiare. Indyjski sternik, który niedawno był w Mandavaka, zapewniał nas wymownie, że poza czarnymi wodami Rio Negro "wielkie gwiazdy zjadają chmury", to też wykonaliśmy zamiar powracania przez Kasikuiare do San Fernando nad Atabapo i szczęściem dla celów naszych ziściły się

słowa Indjanina. Białe wody wróciły nam powoli pogodne niebo, gwiazdy, moskity i krokodyle. W odległości ośmiu mil od szajca San Karlos wpłynęliśmy w Rio Kasikuiare. Charakter krajobrazu jest tu ten sam co nad Rio Negro, Gęstwa drzew otacza brzegi. Ale Kasikuiare ma białe wody i zmienia ciągle kierunek. Zrazu jest niemal szerszy od Rio Negro i powyż Vasivy mierzy do metrów. Sporą część nocy wyglądałem nadaremnie gwiazd. Mimo białej wody mglisto było tu jeszcze. Jedenastego maja wyruszyliśmy dość późno, nie mając zamiaru płynąć daleko. Dolne warstwy mgły zaczęły nabierać konturów chmur, a górą wiało lekko od wschodu. Zwiastowało to zmianę pogody, to też nie chcieliśmy się oddalać od ujścia Kasikuiare w nadziei, że nocą zdołam zaobserwować przejście jakiejś gwiazdy przez południk. Już o piątej rozłożyliśmy się obozem przy Piedra de Kulimakari, samotnym bloku

granitowym. W tem pustkowiu, z niewyraźnymi jeno śladami  
człowieka, starałem się  
czynić spostrzeżenia zawsze przy ujściu rzeki, lub jakiejś łatwej do  
rozpoznania  
skale. Tylko takie stałe punkty mogły bowiem służyć za podstawę  
mapy. W nocy z  
na maja zdołałem wyznaczyć chronometrycznie dobrze szerokość,  
według  
gwiazdy alfa konstelacji Krzyża Południowego. Długość  
wyznaczyłem już mniej  
ściśle na podstawie dwu pięknych gwiazd dolnych Centaura. W ten  
sposób  
stwierdzone zostało dość dokładnie dla celów geograficznych  
położenie ujścia Rio  
Pacimoni, szanca San Karlos i punkt połączenia Kasikuiare z Rio  
Negro.  
Zadowoleni tymi wynikami pracy opuściliśmy dnia maja w nocy  
Piedra  
Kulimakari. Plaga moskitów

zwiększała się w miarę oddalania od Rio Negro, W dolinie Kasikuiare  
niema  
zankudów, natomiast inne komary są jeszcze zjadliwsze. Przed  
dotarciem do misji  
w Esmeralda mieliśmy spędzić w tych niezdrowych okolicach jeszcze  
ośm nocy pod  
gołem niebem, to też sternik tak pokierował drogą, że mogliśmy  
skorzystać z  
gościnności misjonarzy w Mandavaka i przenocować we wsi Vasiva,  
Z trudem wielkim  
parliśmy się pod prąd, który wynosił do stóp w sekundzie, to znaczy  
około  
mil morskich na godzinę. Ostatni obóz nocny oddalony był w linii  
prostej

conajmniej trzy mile od misji w Mandavaka, a wioślarze nasi pracowali dzielnie, mimo to jednak zużyliśmy na tę krótką przestrzeń czternaście godzin. W Mandavaka zastaliśmy zacnego starego misjonarza, który spędził lat w Boskues del Kasikuiare i miał ciało tak skłute przez moskity, że trudno było dostrzec jego białą skórę. Opowiadał nam o swem opuszczeniu i bezradności wobec wielu zbrodni, jakie się dzieją w misjach Mandavaka i Vasiva, W tej ostatniej pożarł niedawno pewien indyjski alkalde jedną ze swych żon, wypasłszy ją poprzód należycie. Ludożerstwo nie jest w Guajanie wywołane głodem, ani przesadami wiary, jak na wyspach południowych, ale żądzą zemsty nad pokonanym, lub "zбочeniem smaku". Zwyciężywszy nieprzyjacielską horde, zjadają podczas uczty zwłoki jednego z poległych. Napadłszy nocą bezbronną rodzinę, albo zabłąkanego w lesie wędrowca, kroją ciało i niosą w triumfie do domu. Dzicy gardzą wszystkim, co nie przynależy do rodziny lub szczepu i polują jak na zwierzynę na członków innej hordy. Znają obowiązki względem rodziny, ale nie mają pojęcia o ludzkości całej. To

też bez miłosierdzia mordują dzieci i kobiety szczepu wrogiego i pożerają je z apetytem po bitwie, lub napadzie.  
— Nie macie panowie pojęcia — mówił stary misjonarz — jak zepsute są te

"famiglia de Indios". Przyjmuje się naprzykład do wsi ludzi innego  
szczepu,  
wydają się łagodni, uczciwi i pracują dzielnie. Bierze się ich na  
wycieczkę  
(entrada) w celu chwytania tubylców i nagle ogarnia ich szal,  
rozbijają,  
zabierają wszystko i kryją kawałki zwłok! — Mieliśmy w pirodze  
pewnego  
Indjanina, zbiegłego z nad Rio Guaisia, który w ciągu kilku tygodni  
tak się  
ucywilił, że nam pomagał ustawiać instrumenty podczas nocnych  
obserwacji.  
Był z pozoru dobroduszny, rozumny, tak że chcieliśmy go wziąć na  
stałe za  
pomocnika. Ku wielkiemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się od niego, w  
rozmowie  
prowadzonej przez tłumacza, że "mięso małpy manimonda jest  
Coprząd czarniejsze,  
ale zdaniem jego smakuje jak mięso ludzkie". Zaręczał, że członkowie  
jego  
szczepu "zjadają jeno dłonie ludzkie, podobnie jak łapy niedźwiedzie,  
zaś resztę  
odrzucają". Mówiąc to, wyrażał gestami wielki apetyt. Spytaliśmy go  
czy i tu, w  
misji ma ochotę na cheruvichahenę (mięso ludzkie), a on odparł  
spokojnie, że tu,  
jadł będzie to, co los padres.  
Masy owadów, żyjące w tym wilgotnym klimacie niszczą, jak i nad  
Rio Negro, młode  
kultury. Mimo pogodnego nieba nie opadał tu nigdy hydrometr  
poniżej stopni.  
Wszędzie napotyka się wielkie mrówki sunące gromadami. Pożerają  
one chciwie  
soczyste rośliny pobraża, gdyż w głębi lasu wszystko jest łykowane i  
twardsze.  
Misjonarz chcący wyhodować sałatę lub inną jarzynę europejską musi  
zawieszać  
swoją ogród w powietrzu. Napełnia kanoe dobrą



ziemią i wiesz ją na palach cztery stopy nad ziemią, przywiązują linami z chiquichiqui, lub stawiając na lekkim rusztowaniu. Młode sadzanki wolne są wówczas od chwastów, robaków ziemnych i mrówek, które maszerują dalej spokojnie, nie wiedząc co nad nimi rośnie i nie wślą na pale pozbawione kory. Notuję to na dowód, jak trudno jest człowiekowi osiągnąć coś w tych nadbrzeżnych okolicach, gdzie panuje jeno roślinność i zwierzęta. Dnia maja odpędziły nas już o drugiej w nocy od brzegu moskity i mrówki. Sądziliśmy zrazu, że te ostatnie nie wślą po sznurach mat. Może też spadły na nas z drzew, dość, że rady sobie z nimi dać nie mogliśmy. Rzeka zwięzła się coraz bardziej, a brzegi stawały tak bagniste, że Bonplandowi z wielkim przyszło trudem dotrzeć do wielkiej karolinei okrytej purpurowym kwieciem. Drzewo to stanowi tu, jak i nad Rio Negro, największą ozdobę lasów. Od maja sypialiśmy zawsze pod gołym niebem, nie mogąc jednak podać miejscowości, bowiem kraina ta jest tak dzika i tak bezludna, iż z wyjątkiem paru rzek Indianie nie znali nazw punktów, które zdejmowałem kompasem. Zdołałem przy pomocy obserwacji gwiazd oznaczyć szerokość na przestrzeni całego stopnia. Im bliżej mieliśmy rozwidlenie Orinoka, tem uciążliwsze były noce. Nawet ten, kto obeznany jest z bujnością tropikalną, pojęcia mieć nie może o szalonym

rozpasaniu roślin w tych okolicach. Brzegi nikną, a ściana liści i pni stanowi ramę rzeki. Mieliśmy przed sobą kanał czterysto metrowej szerokości, ujęty w ljanya, i nie było sposobu wylądować. Często szukaliśmy o zachodzie przez godzinę przeszło nie już brzegu, ale kawałka ziemi mniejszą okry-

tego gęstwą, tak by Indjanie mogli wyrąbać siekierami przestrzeń potrzebną dla kilkunastu ludzi na obóz. O nocowaniu w pirodze mowy nie było. Dręczące nas za dnia moskity pokrywały wieczór warstwą toldo, czyli dach z liści palmowych, słońcy nas od deszczu. Popuchły nam ręce i twarze. Dumny ze swych moskitów u katarakt pater Zea musiał przyznać, że nigdzie tak złośliwych niema owadów jak na Kasikuiare, Pośrodku gęstwy leśnej trudno nam było wielce o drzewo opałowe, gdyż wszystko jest tu tak soczyste, że się nie chce palić. W braku stałych brzegów, nie mieliśmy też suszu "ugotowanego w słońcu", jak mówią Indjanie. Ognia potrzebowaliśmy właśnie dla ochrony przed zwierzętami, a szczydziliśmy go na przyrządzenie potraw, korzystając z resztek zapasów naszych. Ośmnastego maja dotarliśmy do miejsca gdzie na brzegu stały dzikie kokosowce. Deszcz lał, ale ljanya tworzyły wcale dobry dach, który Indjanie uszczelnili jeszcze pędami helikonji i muzacei. Ogniska oświetlały pnie sześćdziesięcio stopowej wysokości, i festony, okrytych kwiatami ljanów, a dym wił się wskroś

nich, co tworzyło przepyszny obraz. Trudno było jednak korzystać z wypoczynku, gdyż za każdym oddechem wciągaliśmy w usta fale moskitów. Podczas ostatniego noclegu przydarzyło nam się coś, co zaznaczam dla zobrazowania podróży naszej przez te dzikie kraje. Ledwośmy rozłożyli obóz, rozległ się z kępy pobliskich drzew wrzask jaguara. W gęstwie tej żyją jeno zwierzęta mogące łązić po drzewach, a więc wszelkie rodzaje kotów, czwororęki, wiwery i t. p. Nawykli do niebezpieczeństwa i nie zwracając nań systematycznie, rzec można, uwagi niceśmy sobie z tego nie robili. Pies nasz, wiel-

ki dog, szczekał przez czas jakiś, potem jednak skrył się skowycząc pod naszą matę. Zdziwiła nas bardzo bojaźliwość dzielnego dotąd zwierzęcia. Rano okazało się, że pies znikł. Widocznie porwały go jaguary, gdy, nie słysząc już ich wrzasków, oddalił się poza obóz. Nad rzeką Magdaleny i nad Orinokiem opowiadano mi nieraz o starych, przebiegłych jaguarach, które porywały nawet z samych obozów zwierzęta, ścisnąwszy im gardło, by nie mogły krzyczeć. Czekaliśmy na psa długo, lecz daremnie. Po trzech dniach, wracając tędy szukaliśmy wszędzie psa, który nam towarzyszył od samego Karakasu i mnóstwo razy umknął wplaw przed krokodylami. Niestety został rozszarpany przez jaguary. Wspominam o tem by dać wyobrażenie o obyczajach tych pstrych drapieżców.

Dwudziestego pierwszego maja wpłynęliśmy w odległości trzech mil od Esmeralda z powrotem w łózysko Orinoka, które opuściliśmy przed trzema miesiącami przy ujściu Guaviare. Od Angostury dzieliło nas jeszcze mil morskich, ale mieliśmy płynąć z biegiem rzeki i to sprawiło nam wielką ulgę w cierpieniach. Płynąc w dół, można się trzymać środka łózyska, gdzie jest znacznie mniej moskitów, natomiast posuwając się w górę trzeba kołować przy brzegach ze względu na prąd i plaga ta daje się więcej we znaki. Słynny punkt rozwidlania się Orinoka przedstawia wspaniały obraz. Naprzeciwko, na prawym brzegu, leży amfiteatralnie granitowe gniazdo Duidy. Misjonarze uważają za wulkan tę górę wysoką na tysiący stóp. Stroma jest od południa i zachodu i wygląda imponująco ze swym nagim, kamiennym szczytem. Na łagodniejszych jednak stokach, gdzie jest

jeno trochę ziemi, okrywają ją potężne lasy. U stóp Duidy leży misja Esmeralda, wioska o ośmdziesięciu mieszkańcach, rozłożona na równi poprzecinanej pasmami czarnej ale czystej wody. Jest to rzeczywista łąka, na której widnieją grupy palm mauritia, amerykańskich drzew sagowych. W Esmeraldzie nie zastaliśmy misjonarza, a ksiądz, odprawiający tu nabożeństwo, mieszkał o pięćdziesiąt mil dalej w Santa Barbara. Musi podróżować cztery dni pod prąd rzeki, to też przybywa tu ledwo kilka razy w ciągu roku. Przyjął nas

bardzo życzliwie pewien stary żołnierz, biorąc za kramarzy  
katalońskich,  
handlujących z misjami. Ujrzawszy nasze papiery przeznaczone do  
suszenia roślin,  
rzekł z uśmiechem: — Tutaj nie znajdziecie zbytu na taki towar.  
Pisujemy  
niewiele, a suchych liści bananów i kukurudzy używamy, jak wy w  
Europie papieru,  
do zawijania małych przedmiotów np. igieł, szpilek i haczyków na  
ryby! — Stary  
żołnierz był przedstawicielem władzy świeckiej i duchownej zarazem,  
uczył  
dzieci, nie katechizmu Coprawda, ale odmawiania różańca, 'dla  
rozrywki dzwonił w  
kościół, a czasem uniesiony gorliwością wykorzystywał swój strój  
kościelny w  
sposób, który nie bardzo się podobał tubylcom.  
Esmeralda słynie z wyrobu kurary, trucizny używanej podczas łowów  
i w walce.  
Jest to jedna z najbardziej zabójczych substancji.  
Nie byliśmy chorzy, ale osłabiła nas długa podróż, komary, złe  
jedzenie i  
przesiadanie w wilgotnym, ciasnym kanoe. Nie posunęliśmy się w  
górze płynąc do  
okolic poza ujściem Rio Guapo co uczynić należało dla zbadania jego  
źródeł.  
Byliśmy jednak tylko prywatnymi podróżnikami, którym pozwolono  
zwiedzać

misje i musieliśmy się ograniczać do spokojnych krain. Guapo dzieli  
jeszcze  
mil od raudalu Guahiribów, na nim zaś czuwają ciągle Indjanie z  
łukami, nie  
puszczając dalej na wschód białego, ani nikogo, kto przybywa z  
posiadłości tego

punktu, na którym zatrzymać się musiał don Francisco Bovadilla,  
komendant wojsk  
z nad Rio Negro, gdy szedł ze zbrojnymi. Rzeź, jaką wówczas  
urządził pośród  
dzikich, rozjuszyła ich jeszcze bardziej przeciw mieszkańcom misji i  
uczyniła  
podejrzliwymi.

## Z BIEGIEM RZEKI.

Piroga nasza gotowa była do drogi dopiero około trzeciej w nocy,  
gdyż musiano ją  
oczyścić z mrówek, które się rozgnieździły w ścianach podczas  
podróży po  
Kasikuiare, oraz w dachu z liści palmowych, pod którym trzeba było  
leżeć na  
wznak jeszcze przez dni dwadzieścia dwa.  
W chwili odbicia od brzegu zbiegli się wokoło nas ludzie, rzekomo  
biali,  
hiszpańskiego pochodzenia, błagając, byśmy się wstawili za nimi u  
namiestnika w  
Angosturze, by im zezwolił wrócić w stepy (llanos). Gdyby im łaska  
ta została  
odmówiona, prosili przynajmniej o przesiedlenie do misji nad Rio  
Negro, gdzie  
jest chłodniej i mniej komarów. — Jakkolwiek winy nasze są wielkie  
— mówili —  
odpokutowaliśmy już chyba dwudziestoletnią męką pośród tych  
moskitów!  
Nasłuchawszy się tyle o tych strasznych owadach, trudno pojąć, by  
zniknięcie ich  
niespodziane mogło napełnić ludzi niepokojem. Opowiadano nam w  
Es-

meraldzie, że pewnego wieczoru, w roku , w porze wieczornej, kiedy zazwyczaj moskitów najwięcej w powietrzu, znikły one nagle na całą godzinę. Nie było ni jednego mimo pogody i ciszy powietrza, co zapowiadało deszcz bliski. Trzeba żyć w tych krajach, by zrozumieć, jak dalece zjawisko to musiało wszystkich zdumieć. Winszowano sobie wzajem i pytano czy owa "felizidad" (szczęśliwość); owo "alivio" (ulga) długo potrwać może. Za chwilę jednak miast radości i rozkoszowania się ulgą, wszyscy uczuli strach przed wytworami własnej wyobraźni. Mówiono sobie, że prawa natury doznały wstrząsu, a miejscowi uczeni i starzy Indianie prorokowali straszliwe trzęsienie ziemi. Kłócono się, nad słuchiwano najłżejszego szmeru liści, gdy zaś powietrze napełniły z powrotem moskity, nastąpiła ogólna radość. Niepodobna powiedzieć, co wywołało owe zjawisko, odmienne zresztą całkiem od normalnej zmiany gatunków w poszczególnych porach dnia, ale zainteresowało nas żywe opisywanie go przez tubylców, jako dowód, że człowiek czuje nawykową skłonność do znanych dobrze cierpień codziennych, Z podróży naszej od Esmeraldy do ujścia Atabapo mógłbym podać jeno opis rzek i bezludnych miejscowości. Dnia maja przebyliśmy wodospady Guahibo i Garcity. Przed zachodem słońca zwiedziliśmy położoną na wschodnim brzegu jaskinię Ataruipe, mieszczącą, zda się, groby całego wygasłego plemienia. Słynie ona pośród tubylców. Wchodzi się na nagą skałę granitową, tak śliską, że gdyby nie twarde, trudno wietrzejące kryształy feldszpatu, nie byłoby o co zaczepić nogi. Ze szczytu góry

widać archipelag wysp, porośniętych palmami, roz-

rzucanych po spienionem łożysku rzeki. Od zachodu na lewym brzegu rozłożyły się sawanny nad Metą, podobne zdala do zielonego jeziora. Słońce oświecało samotną górę stożkowatą Unianę, tem wyższą z pozoru, że tonącą dołem we mgle. Pod nogami ujrzelśmy krągłą zamkniętą dolinę, ponad którą unosiły się drapieżne ptaki, rzucając na skały przelotne cienie. Przez wąską grzbietowinę dotarliśmy na drugi szczyt, krągły, zarzucony ogromnymi blokami granitu. Masy te miały po kilkadziesiąt stóp średnicy i były tak dokładnie kuliste, że w jednym jeno punkcie, rzec można, stykały się ze sobą, za najmniejszym wstrząśnieniem gotowe runąć na dół. Nie pamiętam tego rodzaju naturalnych wytworów wietrzenia granitu. Na planie dalszym, gdzie zbocze pokrywał gęsty las, było wejście do grotty Ataruipe. Jest to nie grota właściwa, ale wyskok skalny, w którym siły przyrody wyżłobiły dużą wklęsłość. W cmentarzysku tem całego wygasłego ludu naliczyliśmy rychło około doskonale zachowanych szkieletów, które leżały w tak regularnych szeregach, że trudno się było pomylić w liczeniu. Każdy spoczywał w koszu, uplecionym z żeber liści palmowych. Kosze te, zwane mapiras tworzą coś w rodzaju worów, a są tak przystosowane do rozmiarów zwłok, że nawet zmarłe noworodki mają swoje własne koszyczki. Szkielety są zgięte wpół i tak kompletne,



iż nie brak żadnemu jednego stawu palcowego. Zmarłego kładą tu na  
czas jakiś do  
ziemi, by mięso zeszło z kości, poczem szkielet skrobią ostrymi  
kamykami do  
czysta.

Trudno określić wiek tych szczątków, niema chyba szkieletów  
starszych nad lat  
sto, ale mogły się one

w powietrzu tak suchem zachować także znacznie dłużej w  
pierwotnym stanie. Wedle  
legandy Indjan plemienia Guahibo, wojowniczy Aturowie schronili  
się przed  
karaibami na tę skałę pośród wielkich katarakt i z wolna wyginał ten  
szczep, wraz  
z językiem swoim.

W milczeniu wracaliśmy do łodzi, pogodną, cichą nocą przelśnioną  
gwiazdami, a  
ponad ziemią wirowały rdzawo błyszczące chmury komarów. Ściany  
cementarnej groty  
pokrywały sploty woniejącej wanilji i festony bignonji, a na  
wierzchołku chwiały  
się zlekka smukłe pnie palm.

Pozostaliśmy w misji Atures tak jeno długo, jak trwał transport pirogi  
naszej  
przez wielką kataraktę. Postępować z nią należało ostrożnie, gdyż dno  
i boki

ścieńczały wielce od tarcia. Pożegnaliśmy zacnego ojca Zeę, który  
został w

Atures, po dwumiesięcznej wspólnej wędrówce i dzielonych z nami  
utrapieniach.

Trapiła go dotąd febra, ale przywykł do niej już i nie zwracał na nią  
wcale  
uwagi.

Odważyliśmy się przebyć w zużytej pirodze naszej ostatnią część raudalów Ature.

Wysiadając raz po raz, przekraczaliśmy skaliste progi, łączące poszczególne

wyspy. Na samotnych tych rafach gnieździ się kurka skalna, o złocistym

upierzeniu, najpiękniejszy może z ptaków podzwrotnikowych.

Zatrzymaliśmy się

przy raudalito Kanukari, utworzonym z ogromnych, spiętrzonych zwałów granitu.

Bloki te, mające często kształt sferoidu o kilku stopach średnicy, leżące na

sobie, tworzą obszerne jaskinie. Weszliśmy do jednej w celu zebrania nitkowatych

porostów wodnych, okrywających ściany. Mieliśmy widowisko najciekawsze może z

ogładanych nad Orinokiem. Ponad głowami naszymi płynęła potężna rzeka, do-

stęp mieliśmy otwarty, a tuż przed nami ogromnym łukiem rzucał się w dół

wodospad, tworząc ścianę wodną. Nie wszystkie jednak ściany groty były tak

szczelne, jak się wydawało zrazu i gdzieś tam widzieliśmy spore pasmo wody.

Wypadło nam jednak zażywać dłużej tego pięknego widoku niżliśmy pragnęli. Nasza

piroga miała przepływać wąski kanał przy brzegu, zatoczyć łuk i zabrać nas po

drugiej stronie zapory. Czekaliśmy jednak półtorej godziny nadaremnie. Nadeszła

noc, a z nią burza. Lało jak z cebra. Obawialiśmy się, że piroga nasza rozbiła

się o skały, a Indianie wrócili poprostu do misji, obojętni, jak zawsze, gdy

idzie o innych. Zostaliśmy we trzech tylko, przemoczeni, zatrwożeni  
losem łodzi,  
i nie było innego wyjścia, jak tylko spędzić noc wśród huku wody, w  
przeciekającej grocie. Bonpland powziął myśl, by, zostawiwszy mnie  
z don  
Mikołajem Sotto, przebyć wpływ rzekę i uzyskać pomoc ojca Zey, z  
misji. Z  
trudnością zdołaliśmy go powstrzymać od tego niewykonalnego  
planu. Nie znał  
wcale labiryntu kanalików i wirów w poszczególnych miejscach i nie  
dotarłby  
przenigdy do misji. Nagle przekonaliśmy się, że Indianie fałszywie  
nas  
poinformowali o nieobecności krokodyłów wśród katarakty.  
Przynieśliśmy tu ze  
sobą klatki z małpami i postawili na skale. Przemoczone zwierzątka  
zaczęły  
pisać i to zwabiło dwa krokodyle, widać stare, gdyż pancerz miały  
ołowiano  
szary. Mrowie nas przeszło na wspomnienie kąpieli naszej pośrodku  
samego  
raudala. Po długim czekaniu ujrzeliśmy nakoniec Indian. Sternik nie  
mógł  
przejechać zbyt płytkim kanałem i długo szukał lepszej drogi  
pomiędzy  
wysepkami. Piroga nie uległa na szczęście katastrofie, i w niespełna  
pół godziny  
załadowano na

nią z powrotem instrumenty, zapasy i zwierzęta nasze.  
Misja Uruana posiada niezwykle malowniczą okolicę. Mała wioska  
indyjska oparta  
jest o wysoką górę granitową, a wszędzie z pośród drzew i ponad ich  
czubami

sterczą złomy i słupy skalne. Od strony domu misyjnego Orinoko  
wygląda  
wspaniale. Ma tutaj przeszło pięć tysięcy metrów szerokości i płynie  
prosto, ku  
wschodowi, bez zakrętów, niby olbrzymim kanałem sztucznym.  
Misję zamieszkują Otomakowie, jeden ze szczepów najniżej  
kulturalnie stojących.  
Jedzą oni ziemię, to znaczy przez kilka miesięcy w roku dla  
zaspokojenia głodu  
łykają wielkie ilości ziemi, bez szkody dla zdrowia. Podczas niskiego  
stanu wody  
w Orinoko i dopływach żywią się rybami i żółwiami, które zabijają  
nader zręcznie  
zapomocą strzał w chwili pokazania się ich na powierzchni wody.  
Gdy rzeka  
wzbierze, ustaje rybołówstwo, a wówczas wracają Otomakowie do  
jedzenia ziemi,  
której całe masy gromadzą po chatach. Są to kule o kilku calach  
średnicy i  
składają się z tłustej gliny. Otomakowie przypisują sytość temu  
właśnie jadłu,  
nie zaś małym ilościom dodatkowego pożywienia, jakie przelotnie  
zdobyć mogą.  
Rzadko spędzaliśmy nocę na łądzie, chociaż plaga moskitów malała  
coraz to  
bardziej w miarę posuwania się w dół rzeki. Dnia czerwca  
wylądowaliśmy  
naprzeciw ujścia Rio Apure, gdzie Orinoko zwraca się na wschód.  
Ujrzelśmy złomy  
granitowe sterczące stromo z ziemi, a z ich szczytu zobaczyliśmy w  
stronie  
północnej llanos, czyli stepy, ciągnące się aż do krańców widnokregu.  
Nawykli od  
długiego czasu do ogromnych lasów, doznaliśmy silnego i no-

wego wrażenia. Po zachodzie stepy nabrały szaro zielonej barwy, a że  
widok  
zamykała sama jeno kulistość ziemi, wydawało się, iż gwiazdy  
wschodzą z toni  
morza. Najwytrawniejszy marynarz uległby zapewne temu wrażeniu.  
Dnia czerwca napotkaliśmy dużo statków z towarami, płynących przy  
pomocy żagli  
w górę Orinoka, a potem Apury. Była to uczęszczana linja wodna  
pomiędzy  
Angosturą i prowincją Varinas. Tędy udał się z powrotem do domu  
towarzysz nasz  
don Mikołaj Sotto.  
Z wielką radością wylądowaliśmy w Angosturze, stolicy hiszpańskiej  
Guajany.  
Wracaliśmy z krajów bezludnych niemal, to też miasto  
sześciotysięczne wydało nam  
się niezwykle ożywionem. Otoczyła nas atmosfera celowo  
zorganizowanej pracy,  
skromne pokoiki uznaliśmy za apartamenty, a każdy, kto się do nas  
odezwał, wydał  
nam się człowiekiem wprost genialnym.  
Przykra sprawa zatrzymała nas niestety przez cały miesiąc w  
Angosturze. Bonpland  
zapadł na gorączkę i po kilku dopiero tygodniach mogliśmy ruszyć  
dalej.  
Przepłynąwszy po raz ostatni Orinoko pojechaliśmy przez stepy  
Wenezueli,  
docierając lipca do miasta Nueva Barcelona, mniej ucierpiawszy od  
żaru  
llanos, do czego przywykliśmy, niż z powodu zawiei piaszczystych,  
które nam  
poraniły skórę. Potem pożeglowaliśmy do Kumany łodzią, wiozącą  
kakao. Dnia  
listopada pożegnaliśmy towarzyszy, udając się do Hawany. Noc była  
rozkosznie  
chłodna. Patrzyliśmy długo ze wzruszeniem na białe, coraz to dalsze  
brzegi i  
palmy Manzanaresu, oświetlone księżycem.

KONIEC